

SANKTUARIUM ŚW. ANDRZEJA BOBOLI



NARODOWE
SANKTUARIUM
ŚW. ANDRZEJA
BOBOLI

PISMO POŚWIĘCONE
ŻYCIU
CHRZEŚCIJAŃSKIEMU



NR 3 (358) | WARSZAWA | LIPIEC | SIERPIEŃ | WRZESIEŃ 2020 | ISSN 505-2701

KULT ŚWIĘTYCH
W TOWARZYSTWIE
JEZUSOWYM

PAPIEŻ FRANCISZEK
O ŚWIĘTYM JANIE PAWLE II

KOCHAĆ
TO CHCIEĆ
DLA KOGOŚ DOBRA

IKONA DOBREGO PASTERZA

Jacek Wróbel SJ

PRZEDSTAWIENIE JEZUSA CHRYSYTA DOBREGO PASTERZA na dobre zadomowiło się we współczesnej ikonografii chrześcijańskiej, zarówno wschodniej, jak i zachodniej, ukazując bliskość Zbawiciela na wzór troskliwego, a jednocześnie pełnego mocy Opiekuna. Choć motyw ten ma swoje głębokie zakorzenienie w Piśmie Świętym Starego i Nowego Testamentu, to jednak przez wiele ostatnich stuleci był dość marginalnie obecny w obrazowaniu religijnym, w przeciwieństwie do okresu rodzącej się dopiero ikonografii chrześcijan. Sposób ukazowania Dobrego Pasterza jako niosącego baranka (*kriophoros*) spoczywającego na Jego karku i ramionach, zaczerpnięty został ze stylistyki pogańskiej, najczęściej realizowanej w formie rzeźby. Motyw ów nawiązuje do tradycji mitologicznej Greków, symbolizując idyllę pokojowego i beztroskiego życia, uosobioną w postaci pasterza Hermesa z owieczką na ramionach, oraz tradycji Rzymian, jako personifikacji *humanitas* i uosobienie cnoty filantropii.

Najstarsze znane nam chrześcijańskie ukazywania Dobrego Pasterza pochodzą z przełomu II i III wieku. Są to malowidła ściennie (a warto wspomnieć, że chrześcijanie zachowywali nieufny dystans wobec przedstawień rzeźbionych z uwagi na ich funkcję w kultach pogańskich), znajdujące się między innymi w bazyliki chrześcijańskiego Domu modlitwy (*Domus ecclesiae*) w Dura Europos w Syrii oraz liczne przedstawienia znajdujące się w rzymskich katakumbach – Domitylli, św. Kalista i św. Pryscylii. Widzimy na nich młodego mężczyznę w krótkiej tunice przepasanej na biodrach, obutego w wysoko wiązane sandały z torbą pasterską na ramieniu, a na swoich barkach trzymającego baranka. Postać ta jedną dłonią chwytając nóżki zwierzęcia, a w drugiej trzyma laskę pasterską. Wokół pasterza zgromadzone są liczne owce. Ów plastyczny motyw traktowany był prawdopodobnie jako symboliczne ukazanie miłości Boga, który posyłając swojego Syna na świat, nie chce, „aby zginęło jedno z tych małych” (por. Mt 18,14). Natomiast o ikonie Chrystusa Dobrego Pasterza w sensie ścisłym – a nie jedynie alegorii czy symbolu – możemy mówić dopiero w ujęciach nieco późniejszych. Przykładem może tu być mozaika bizantyjska z około V–VI wieku z Mauzoleum Galii Placydii w Rawennie. Widzimy na niej Jezusa Młodzieńca z ogoloną twarzą, siedzącego na skale pośród licznych owiec, a wokół Jego głowy złoty nimb. Ubrany jest w uroczysty hiton koloru złotego oraz purpurowy płaszcz, narzucony na ramię i biodra. W jego lewym ręku widzimy złoty krzyż, który trzyma jak laskę pasterską, a swoją prawą dłoń karmi jedną z owiec znajdujących się u Jego boku.

We wczesnym i późnym średniowieczu, zarówno u chrześcijan Wschodu, jak i Zachodu, ikonograficzny motyw Dobrego Pasterza w dużej mierze zanika, gdyż nie znajduje swego miejsca w ikonografii związanej z liturgią. Ale zachował się jako motyw dekoracyjny. Znajdujemy go nielicznie na bogato rzeźbionych portykach katedr i kościołów Europy Zachodniej oraz na kartach iluminowanych ewangelii i psalterzy, a także w postaci miniaturowych figurek zdobiących relikwiarze. W czasach nowożytnych przybiera funkcję dydaktyczną, ilustrując różnorodne druki religijne, częściej protestanckie niż katolickie.

Dopiero czasy współczesne na nowo i dość intensywnie odwołują się w ikonografii do obrazu Jezusa Dobrego Pasterza. Znamy go dobrze z kolorowych i plastycznie ujętych ilustracji

katechizmów szkolnych oraz czasopism religijnych. W większości jednak ujęcia te przemawiają do wyobraźni emocjonalnej, nie niosąc z sobą głębszej treści teologicznej. Przeciwwagą do tych idyllicznych i raczej sentymentalnych obrazków stanowi najnowsza, bo ukształtowana w ostatnich dziesięcioleciach, ikonografia Jezusa Chrystusa Dobrego Pasterza w ujęciu „bizantyjskim”, tj. odwołująca się do klasycznej symboliki ikony.

Jej najczęstszym wyrazem jest nawiązanie do kanonicznego sposobu ukazowania Chrystusa Pantokratora, czyli Chrystusa Zwycięzcy, sprawującego władzę nad wszystkim. Postać Zbawiciela przedstawiana jest frontalnie, ukazując mężczyznę w średnim wieku z zarostem na twarzy. Jego ubranie stanowią: czerwono-purpurowy hiton ze złotym pasem na ramieniu oraz granatowy lub szmaragdowy himation (płaszcz). Czerwień sukni (hitonu) wskazuje na prawdziwe człowieczeństwo oraz królewskość Wcielonego Syna Bożego, a złoty pas na mesjański autorytet działania w imieniu Ojca. Granatowy lub szmaragdowy kolor płaszcza wskazuje na Jego prawdziwe bóstwo, którym przyoblekł przyjęte przez Siebie we Wcieleniu, ukrzyżowane i zmartwychwstałe (czyli w rozumieniu teologii wschodniej *przebóstwione*) ciało. Na obu barkach Jezusa spoczywa baranek, uchwycony przez Pasterza za kopytko jedną lub dwiema dłońmi, najczęściej ze znamionami ukrzyżowania, tj. śladami po gwoździach. Jest to znak urzeczywistnienia epifanii Mesjasza jako Pasterza, który „daje swoje życie za owce” (por. J 10, 11). I tak, jak rany po gwoździach są nieodłącznym atrybutem Zmartwychwstałego, tak Jego Krzyż, stanowiący tło ukazanej na ikonie postaci, jest znakiem nieodwołalności Jego zaangażowania w dzieło zbawienia. W zgięciu lewego ramienia podtrzymuje laskę pasterską, symbol władzy i opieki nad powierzonym Mu przez Ojca „stadem”. Głowa Zbawiciela okolona jest charakterystycznym krzyżowym nimbem, na którym zapisane jest po grecku imię Boga (czyta się je: *ho on*) objawione Mojżeszowi w Starym Testamencie: „Ten, który Jest”. Postać Jezusa – Wcielonego, Ukrzyżowanego i Zmartwychwstałego – ukazana na planie symbolicznego przedstawienia w figurze okręgu nieskończoności Boga, jest dopełnieniem objawienia TEGO, KTÓRY JEST – MIŁOŚCIĄ.

W wypadku przedstawień, na których Chrystus Dobry Pasterz chwytając nóżki baranka tylko lewą dłonią, prawą albo wykonuje gest błogosławieństwa, z charakterystycznym na ikonach bizantyjskich gestem uniesionych do góry trzech palców (oznaczają one obecność i zaangażowanie wszystkich Osób Trójcy Świętej w dzieło zbawczym), albo podtrzymuje otwartą księgę Ewangelii z wypisanymi (po grecku lub staro-cerkiewno-słowiańsku) słowami: „Ja jestem Dobrym Pasterzem i życie swoje daję za owce”.

Ikona, oprócz kanonicznego podpisu przedstawienia Zbawiciela greckimi monogramami IC XC, czyli Jezus Chrystus, zawiera również chrystologiczny tytuł Dobry Pasterz, wykaligrafowany w języku greckim (O POIMEN O KALOS).

O. JACEK WRÓBEL SJ – dyrektor Centrum Integracji Kulturalnej „Galeria u Jezuitów” w Poznaniu, założyciel i koordynator Warsztatów ikonopisania „Droga ikony” w Warszawie oraz Pracowni Działań Twórczych w Poznaniu. Prowadzi praktyczne warsztaty ikonopisania oraz sesje modlitwy w oparciu o teologię ikony.



JAK ŚWIAT DŁUGI I SZEROKI, TOCZĄ SIĘ ROZMOWY O NOWYM otwarciu, o potrzebie zbudowania nowego ładu. Na jakich wartościach będzie budowany? Jakich pasterzy wybierze sobie Lud Boży za przewodników?

W obecnym numerze spotykają się i dopełniają wzajemnie słowa Dobrych Pasterzy: Papieża Franciszka, św. Jana Pawła II oraz szczególnie bliskiego naszemu sercu Ojca Mirosława Paciuszkiewicza, pierwszego kustosa Narodowego Sanktuarium św. Andrzeja Boboli.

Wiara jest kluczem do odczytywania historii Polski i Polaków. Do dziś słowa Bitwa Warszawska oraz Cud nad Wisłą to synonimy jednego z najważniejszych wydarzeń historycznych w dziejach Polski i Europy. Pamiętając o wymiarze politycznym, społecznym i militarnym tego czasu, przywołajmy także zaangażowanie modlitewne wiernych, kierowane do Boga za wstawiennictwem Matki Bożej Łaskawej oraz Andrzeja Boboli, wówczas jeszcze Błogosławionego.

Wielkim czcicielem Matki Bożej i św. Andrzeja Boboli był Ojciec Mirosław Paciuszkiewicz. Uczył nas, jak odczytywać znaki, by w posłuszeństwie i pokorze podążać za Bożą, a nie swoją wolą. Szczęściem, zachowały się wywiady, w których mówi o fundamentalnych dla chrześcijanina sprawach: miłości, modlitwie, wierności.

Jego serce i mądrość, za sprawą Chrystusowego ducha, stworzyły fundamenty świątyni jako miejsca otwartego na ludzi poszukujących Boga i pragnących pogłębiać tę więź we wspólnocie ludzkiej. Owocem Jego życia jest także rozwój kultu św. Andrzeja Boboli na warszawskim Mokotowie i w Strachocinie. Owocem Jego życia jest duszpasterstwo par niesakramentalnych w parafii oraz rozwój tego duszpasterstwa w całej Polsce, a nawet świecie. Dziesiątki homilii wygłoszonych do słuchaczy niedzielnych mszy radiowych w latach 90., kilkadziesiąt książek, setki artykułów. Imponujący dorobek życia człowieka. Do dziś żyje w nas, jego uczniach, penitentach, przyjacielach i współbraciach, z którymi budował serdeczne relacje, przekonanie, że obcujemy z osobą świętą. Każdy z nas czuł się przy nim w jakiś sposób wyjątkowy, widziany, doceniony. Słowem oraz własnym świadectwem wpajał nam, że **BÓG JEST MIŁOŚCIĄ**.

Ciesz się faktem, że w dziesiątą rocznicę odejścia do Pana Ojca Mirosława Paciuszkiewicza, w kruście naszego kościoła została umieszczona pamiątkowa tablica, przypominająca postać tego wybitnego jezuity. Pod krzyżem, przy sercu Pana Jezusa.

Małgorzata Mularczyk
Redaktor naczelna

SPIS TREŚCI

- 1** Ikona Dobrego Pasterza
JACEK WRÓBEL SJ
- 3** Słowo nie wystarczy
PAPIEŻ FRANCISZEK
- 4** Niech lekarstwem będą przeciwności, miłości i solidarności
PAPIEŻ FRANCISZEK
- 6** Papież Franciszek o św. Janie Pawle II
KRZYSZTOF OŁDAKOWSKI SJ
- 8** Chrześcijaństwo i życie Kościoła w nowych sytuacjach świata
ANDRZEJ KOPROWSKI SJ
- 10** Kult świętych w Towarzystwie Jezusowym
ANDRZEJ KOPROWSKI SJ
- 14** Nowe sanktuarium w Szczecinie
BERNARD GONSKA SJ
- 15** Polityka – błogosławieństwo czy pokusa?
WACŁAW OSZAJCA SJ
- 16** Świadectwo księdza prałata Józefa Niżnika, kustosa sanktuarium Świętego Andrzeja Boboli w Strachocinie
- 18** Dobry Pasterz
MAŁGORZATA MULARCZYK
- 20** Cud nad Wisłą
KAROL JAWORSKI
- 21** Koronka do Matki Bożej Łaskawej
- 22** Kochać to chcieć dla kogoś dobra
ROZMOWA Z O. MIROŚLAWEM PACIUSZKIEWICZEM SJ
- 26** Odczytać Boży zamiar
ROZMOWA Z O. MIROŚLAWEM PACIUSZKIEWICZEM SJ
- 27** Panowie, gdzie my jesteśmy?
WACŁAW OSZAJCA SJ
- 28** Ojciec Mirosław Paciuszkiewicz SJ
BERNARD GONSKA SJ
- 30** Spotkania jak rozmowy niedokończone
RYSZARD SZYMAŃSKI
- 33** Moje reminiscencje o Ojcu Mirosławie Paciuszkiewiczu
ANNA KOZIOL
- 34** Różaniec śpiewany w Sanktuarium Św. Andrzeja Boboli. Tajemnice światła
ROMAN GROSZEWSKI SJ
- 36** Pomagamy uchodźcom na miejscu
ŁUKASZ LEWICKI SJ
- 37** Lokalny wolontariat i inne wieści z JCS-u
ŁUKASZ LEWICKI SJ
- 37** Adopcja Serca
ANNA ŻAMOJDA RSCJ, ŁUKASZ LEWICKI SJ
- 38** Z życia parafii
ALEKSANDRA WEROCHOWSKA

SŁOWO NIE WYSTARCZY

Dlatego Bóg dał nam Eucharystię

Papież Franciszek

DLA ŻYWOTNOŚCI NASZEJ WIARY NIEZBĘDNA JEST PAMIĘĆ o tym, czego Bóg dla nas dokonał. Aby ją pielęgnować, otrzymaliśmy nie tylko Pismo Święte, ale również Eucharystię, która daje nam udział w paschalnych wydarzeniach. Franciszek mówił o tym w homilii wygłoszonej w Bazylice Watykańskiej 15 czerwca, w obecności zaledwie 50 wiernych. Papież sprawował liturgię według formularza z Bożego Ciała. Choć uroczystość ta była obchodzona w Watykanie w ubiegły czwartek, Franciszek dostosował się do nowych zwyczajów włoskiego Kościoła, w którym wiele uroczystości przypadających w dni powszednie przełożono dla wygodny na niedziele.

Na wstępie Franciszek zauważył, że pamięć o Bogu i o drogach, którymi nas prowadzi, jest jednym z podstawowych wymogów ludzi wierzących.

BÓG WIE, JAK KRUCHA JEST NASZA PAMIĘĆ

„Istotna jest pamięć o otrzymanym dobru: nie pamiętając o nim, stajemy się obcy dla samych siebie, przechodniami istnienia – mówił Ojciec Święty. – Bez pamięci wykorzenia się z gleby, która nas karmi i pozwalamy się unosić jak liście na wietrze. Natomiast przypomnienie to nawiązywanie do najsilniejszych więzi, to poczucie się częścią historii, to oddychanie z ludem. Pamięć nie jest czymś prywatnym, jest drogą łączącą nas z Bogiem i z innymi. Dlatego w Biblii pamięć o Panu musi być przekazywana z pokolenia na pokolenie, musi być opowiadana z ojca na syna, jak mówi piękny fragment: «Gdy syn twój zapyta cię kiedyś: 'Jakie jest znaczenie tych świadectw (...), które wam zlecił Pan, Bóg nasz?', odpowiesz swojemu synowi: 'Byliśmy niewolnikami (...) i Pan uczynił na oczach naszych znaki i cuda'» (Pwt 6,20–22). Ale istnieje pewien problem: jeśli łańcuch przekazywania pamięci zostanie przerwany? A ponadto, jak można pamiętać to, co się tylko słyszało, nie doświadczając tego? Bóg wie, jakie to trudne, wie, jak krucha jest nasza pamięć, i uczynił dla nas coś niesłychanego: zostawił nam pamiątkę. Nie zostawił nam jedynie słów, bo to, co słyszymy, łatwo zapomnieć. Nie zostawił nam jedynie Pisma Świętego, ponieważ łatwo zapomnieć o tym, co czytamy. Nie zostawił nam jedynie znaków, bo można zapomnieć także o tym, co widzimy. Dał nam Pokarm, a o smaku trudno zapomnieć. Zostawił nam Chleb, w którym jest On, żywy i prawdziwy, z całym smakiem Jego miłości. Przyjmując Go, możemy powiedzieć: «To jest Pan, pamięta o mnie!». Dlatego Jezus nas wezwał: „Czyńcie to na moją pamiątkę” (1 Kor 11,24). Czyńcie: Eucharystia nie jest zwykłym wspomnieniem, jest faktem: jest Paschą Pana, która dla nas jest przeżywana ponownie. We Mszy św. stają przed nami śmierć i zmartwychwstanie Jezusa”.

Franciszek zwrócił też uwagę na uzdrawiającą moc Eucharystii. Ona leczy naszą zranioną pamięć i wyzwala nas z osierocenia. Pamięć wielu osób jest naznaczona brakiem uczucia i wielkimi rozczarowaniami ze strony tych, którzy powinni dać im miłość, a tymczasem osierocili ich serce.

POPRAWIE SWĄ OBECNOŚĆ JEZUS UZDRAWIA NASZĄ PAMIĘĆ

„Bóg jednak może uleczyć te rany, umieszczając w naszej pamięci większą miłość: Jego miłość – powiedział Papież. – Eucharystia niesie nam wierną miłość Ojca, która uzdrawia nasze osierocenie. Daje nam miłość Jezusa, który przemienił grób z punktu końcowego na nowy początek, i w ten sam sposób może odwrócić nasze życie. Zaszczepia w nas miłość Ducha Świętego, która pociesza, bo nigdy nie zostawia nas samych i leczy nasze rany. Poprzez Eucharystię Pan uzdrawia także naszą pamięć negatywną, która zawsze wydobywa na wierzch to, co złe, i pozostawia nam smutną myśl, że jesteśmy nieużyteczni, że popełniamy jedynie błędy, że jesteśmy «pomyłką». Jezus przychodzi nam powiedzieć, że tak nie jest. Ciesz się, że może być z nami blisko i za każdym razem, gdy Go przyjmujemy, przypomina nam, że jesteśmy drogocenni: jesteśmy oczekiwanymi gośćmi na Jego uczcie, zasiadającymi do stołu, których pragnie. I to nie tylko dlatego, że jest wielkoduszny, ale dlatego, że jest w nas naprawdę zakochany: widzi i miłuje piękno i dobro, którym jesteśmy. Pan wie, że zło i grzechy nie są naszą tożsamością; są to choroby, infekcje. I przychodzi je leczyć Eucharystią, w której są przeciwności dla naszej pamięci chorej na negatywizm. Z Jezusem możemy uodpornić się na smutek. Zawsze będziemy mieli przed oczami nasze upadki, udręki, problemy w domu i w pracy, niespełnione marzenia. Ale ich ciężar nas nie zmiążdży, bo głębiej w naszym wnętrzu jest Jezus, który dodaje nam otuchy swoją miłością”.

Franciszek podkreślił, że dzięki takiej mocy Eucharystii mamy się stać nosicielami Boga. Trzeba się zapytać, czy jest tak rzeczywiście.

EUCHARYSTIA GASI GŁÓD RZECZY

„Rany, jakie nosimy w naszym wnętrzu, stwarzają problemy nie tylko nam samym, ale także i innym – mówił Ojciec Święty. – Czynią nas lęklivymi i podejrziwymi: na początku zamkniętymi, na dłuższą metę cynicznymi i obojętnymi. Sprawiają, że reagujemy na innych z dystansem i wyniosłością, łudząc się, że w ten sposób możemy kontrolować sytuację. Ale jest to ułuda: tylko miłość leczy lęk u podstaw i wyzwala z zamknięć, które ograniczają. Tak czyni Jezus, przychodzący nam na spotkanie z łagodnością, w rozbrajającej kruchości Hostii; tak czyni Jezus, Chleb łamany, aby rozbić skorupę naszego egoizmu; tak czyni Jezus, który daje siebie, aby nam powiedzieć, że tylko otwierając się, uwalniamy się od zblokowań wewnętrznych, od paraliżów serca. Pan, dając nam siebie tak prosto jak chleb, zachęca nas również, abyśmy nie marnowali życia, goniąc za tysiącem rzeczy bezużytecznych, które powodują uzależnienia i pozostawiają we wnętrzu pustkę. Eucharystia gasi w nas głód rzeczy i rozpala pragnienie służenia. Podnosi nas z wygodnego, siedzącego trybu życia, przypomina nam, że jesteśmy nie tylko ustami, które trzeba nakarmić, ale także Jego rękami, aby nakarmić bliźniego”.

NIECH LEKARSTWEM BĘDĄ PRZECIWCIAŁA SPRAWIEDLIWOŚCI, MIŁOŚCI I SOLIDARNOŚCI

Medytacja Papieża Franciszka dla hiszpańskiego pisma „Vida Nueva” (z dn. 17 kwietnia 2020 roku)

„**A**OTO JEZUS STANĄŁ PRZED NIMI MÓWIĄC: «WITAJCIE!» (por. Mt, 28,9). Są to pierwsze słowa Zmartwychwstałego po tym, jak Maria Magdalena i druga Maria odkryły pusty grób i natknęły się na anioła. Pan wychodzi im na spotkanie, aby przemienić ich żalobę w radość i pocieszyć w cierpieniu (por. Jer 31,13). On jest Zmartwychwstałym, który pragnie wskrzesić do nowego życia kobiety, a wraz z nimi całą ludzkość. Chce, abyśmy zaczęli już uczestniczyć w stanie zmartwychwstania, które nas oczekuje. Zaproszenie do radości może wydawać się prowokacją, a nawet żartem w złym guście wobec poważnych konsekwencji, jakie znosimy z powodu Covid-19. Nie brakuje pewnie tych, którzy mogliby uznać, podobnie jak uczniowie idący do Emaus, że to wyraz ignorancji lub nieodpowiedzialności (por. Łk 24,17–19). Jak pierwsze uczennice, które szły do grobu żyjemy otoczeni atmosferą bólu i niepewności, które sprawiają, że stawiamy pytanie: „Kto zabierze nam kamień od grobu?” (Mk 16,3). Jak poradzić sobie z sytuacją, która całkowicie nas przerosła? Wpływ tego wszystkiego, co się dzieje, poważne konsekwencje, które są nam sygnalizowane i dostrzegane, ból i żaloba dotykające naszych bliskich dezorientują nas, niepokoją i paraliżują. Ciężar kamienia grobowego kładzie się na przyszłości i istnieje realne zagrożenie, że pogrzebie wszelką nadzieję. To ciężar udręki ludzi słabych i starszych, którzy przechodzą kwarantannę w całkowitej samotności, ciężar rodzin, które nie wiedzą już, jak postawić na stole talerz z jedzeniem. To ciężar personelu służby zdrowia i urzędników państwowych, którzy czują się wyczerpani i przytłoczeni... To ciężar, który wydaje się mieć ostatnie słowo.

Wzruszające jest jednak przypomnienie o postawie kobiet z Ewangelii. Wobec wątpliwości, cierpienia i zakłopotania w tej sytuacji, a nawet strachu przed prześladowaniem i tym wszystkim, co mogłoby je spotkać, były zdolne do wyruszenia w drogę i nie dały się sparaliżować tym, co mogłoby się wydarzyć. Z miłości do Mistrza, z tym typowym, niezastąpionym i błogosławionym geniuszem kobiecym, były w stanie przyjąć życie takim, jakie jest, i zmyślnie pokonać przeszkody, aby znaleźć się blisko swojego Pana. W przeciwieństwie do wielu Apostołów, którzy ogarnięci strachem i niepewnością zaparli się Pana i puciekali (por. J 18,25–27), one bez unikania ani ignorowania tego, co się wydarzyło, bez uciekania i chowania się... po prostu wiedziały jak być. Pierwsze uczennice, pośród ciemności i zniechęcenia, zabrały torby z wonnościami i ruszyły w drogę, aby namaścić pogrzebanego Mistrza (por. Mk 16,1). Podczas pandemii mogliśmy zauważyć, jak wiele osób podjęło to «namaszczenie współodpowiedzialności», dbało o to, aby nie wystawiać na niebezpieczeństwo życia innych, w przeciwieństwie do tych, którzy uciekli w nadziei ocalenia samych siebie. Byliśmy świadkami tego, jak bliscy i krewni zaangażowali się,



aby z wysiłkiem i ofiarą pozostać w domu i spowolnić rozszerzanie się wirusa. Mogliśmy odkryć, jak wiele osób, które już przeżywały i musiały znosić pandemię wykluczenia i obojętności, nadal działało, towarzyszyło i podtrzymywało się, aby sytuacja była mniej bolesna. Widzieliśmy namaszczenie wylewane przez lekarzy, pielęgniarki i pielęgniarki, magazynierów, osoby sprzątające, służby porządkowe, handlowców i transportowców, dozorców, księży, siostry zakonne, dziadków, wychowawców oraz wielu innych, którzy mieli odwagę dać z siebie wszystko, aby wnieść do życia trochę uzdrowienia, spokoju i ukojenia. I chociaż pytanie nadal pozostawało takie samo: „Kto nam odsunie kamień z wejścia do grobu?” (Mk 16,3), wszyscy oni nie przestali robić tego, co czuli, oraz tego, co mogli i powinni dać.

I właśnie tam, pośród swoich zajęć i niepokojów uczennice zostały zaskoczone niezwykłą nowiną: „Nie ma Go tutaj, zmartwychwstał”. Namaszczenie Jezusa przez kobiety nie było dla śmierci, ale dla życia. Ich czuwanie i towarzyszenie Panu, nawet w śmierci i w ogromnej rozpacz, nie poszło na marne, ale pozwoliło im zostać namaszczo-

nymi przez Jego zmartwychwstanie. Nie były same, On zył i poprzedzał je w drodze. Jedynie ta niezwykła wieść była w stanie przerwać ten krąg, który uniemożliwiał im dostrzeżenie, że kamień został już odsunięty na bok, i że wonności, które posłużyły do namaszczenia, mają większą zdolność do rozszerzania się od tego, co im zagrażało. Oto jest źródło naszej radości i nadziei, które przemienia nasze działanie: nasze namaszczenia, nasze oddania... nasze czuwanie i towarzyszenie na wszelkie sposoby w tym czasie. Nie są one i nie będą daremne: nie są oddaniem się śmierci. Za każdym razem, kiedy bierzemy udział w Męce Pańskiej, gdy towarzyszymy w męce naszym braciom, przeżywając również własną mękę, nasze uszy słyszą o nowości Zmartwychwstania. Nie jesteśmy sami, Pan poprzedza nas w drodze, usuwając kamienie, które nas paraliżują. Ta dobra nowina sprawiła, że kobiety podjęły drogę poszukiwania Apostołów i uczniów, którzy pozostawali w ukryciu, aby im powiedzieć, że to „Życie, które zostało im wyrwane, zniszczone, unicestwione na krzyżu, obudziło się i znowu bije” (R. Guardini, *Pan*, 504). To jest nasza nadzieja, której nikt nie może odebrać ani uciszyć. To całe życie służby i miłości, które oddaliście w tym czasie, nie zostanie pokonane i zwycięży. Wystarczy otworzyć szczelinę, aby namaszczenie, którego Pan chce udzielić rozszerzyło się z niepowstrzymaną siłą i pozwoliło nam kontemplować bolesną rzeczywistość z przemienionym spojrzeniem. I podobnie jak kobiety z Ewangelii, również my, jesteśmy wciąż zapraszani, aby powrócić na naszą drogę i pozwolić się przemienić temu orędku: Pan, poprzez swoją nowość, może zawsze odradzać nasze życie i życie naszej wspólnoty (por. *Ewangelii gaudium*, n. 11). Na tej opustoszałej ziemi Pan podejmuje trud odradzania piękna oraz budzenia nadziei: „Oto Ja dokonuję rzeczy nowej, pojawia się właśnie. Czyż jej nie poznajecie? (Iz 43, 18b). Bóg nigdy nie opuszcza swojego ludu, jest zawsze z nim, szczególnie kiedy ból staje się bardziej dotkliwy.

Jeśli jest choćby jedna rzecz, której mogliśmy nauczyć się podczas trwania pandemii, to jest to to, że nikt nie może uratować się sam, o własnych siłach. Granice upadają, mury kruszą się, a wszystkie fundamentalistyczne dyskursy rozwiewają się wobec prawie niezauważalnej obecności, która ukazuje kruchość naszego istnienia. Wielkanoc wzywa nas i zaprasza do przypomnienia sobie o innej dyskretniej i pełnej szacunku obecności, hojnej oraz wnoszącej pojednanie, która nie złamie trzciny nadłamaną ani nie ugasi ledwo tlejącego się knotka (por. Iz 42,2–3), aby wzbudzić nowe życie, którego pragnie wszystkim udzielić. To tchnienie Ducha, które otwiera horyzonty, budzi kreatywność oraz odnawia nas w braterskiej wspólnotcie, aby potwierdzić, że jesteśmy obecni, wszyscy razem w obliczu ogromnego i pilnego zadania, jakie nas czeka. Rzeczą naglącą jest rozpoznanie i odnalezienie pulsu Ducha Świętego, aby dać wszystkim razem nowy dynamizm do działań świadczących o nowym życiu, które Pan pragnie wzbudzić w tym konkretnym momencie historii. To jest sprzyjający czas od Pana, który wzywa nie do zadowalania się i asekurowania się, a tym bardziej nie do usprawiedliwiania się logiką chwilową lub zastępczą, które nie pozwolą przyjąć wyzwań i poważnych konsekwencji tego, co obecnie przeżywamy. Jest to właściwy czas, aby zachęcić do nowej wyobraźni, z realizmem, któ-

ry jedynie Ewangelia może nam ofiarować. Duch, który nie daje się zamknąć, ani zinstrumentalizować poprzez istniejące i przestarzałe schematy, sposoby i struktury proponuje, byśmy utworzyli wspólnie ruch zdolny „uczynić wszystko nowym” (Ap 21,5).

W tym czasie zdaliśmy sobie sprawę, jak ważne jest „zjednoczenie całej rodziny ludzkiej w poszukiwaniu zrównoważonego i integralnego rozwoju” (Encyklika *Laudato si'*, 24 maja 2015, n. 13). Każde pojedyncze działanie nie jest działaniem wyizolowanym, lecz posiada daleko idące konsekwencje dla innych, dobre lub złe, ponieważ wszystko w naszym wspólnym domu jest ze sobą połączone. I tak, władze odpowiadające za zdrowie nakazują pozostanie w domach, a ludzie, rozumiejąc tę potrzebę, podporządkowują się tej decyzji, dają wyraz swojej współodpowiedzialności za powstrzymanie pandemii. „Zagrożenie, jakie spowodował koronawirus przezwycięża się przeciwciałami solidarności” (Papieska Akademia Życia, *Pandemia i powszechne braterstwo, nota na temat zagrożenia ze strony Covid-19*, marzec 2020, p. 4). Lekcja, która przełamie cały ten fatalizm, w którym zostaliśmy pogrążeni i pozwoli nam ponownie poczuć się twórcami i bohaterami wspólnej historii, jest właśnie taka: odpowiedzieć wspólnie na tak wiele zła, które dotyka miliony osób na całym świecie. Nie możemy pozwolić sobie na pisanie obecnej i przyszłej historii, jednocześnie odwracając się plecami do cierpienia tak wielu. I Pan zapyta nas ponownie: „Gdzie jest twój brat?” (Rdz 4,9). Oby w naszej zdolności udzielenia odpowiedzi mogła ukazać się dusza naszych narodów, ten zbiornik nadziei, wiary i miłości, w którym zostaliśmy zrodzeni, a w którym przez tak długi czas pozostawaliśmy uciszeni i znieczuleni.

Jeśli będziemy działać wspólnie, również w obliczu innych epidemii, które nas nękają, możemy mieć wpływ na ich przezwyciężenie. Czy będziemy działali odpowiedzialnie w obliczu głodu, który dotyka tak wielu ludzi, wiedząc, że jedzenia wystarczyłoby dla wszystkich? Czy nadal będziemy patrzeć w drugą stronę, milcząc w obliczu wojen napędzanych pragnieniem dominacji i władzy? Czy będziemy skłonni zmienić styl życia, który pogrąża tak wielu w ubóstwie, promując i zachęcając do prowadzenia bardziej umiarkowanego i ludzkiego życia, które umożliwi sprawiedliwy podział zasobów? Czy jako wspólnota międzynarodowa podejmiemy niezbędne środki, aby powstrzymać niszczenie środowiska, czy też nadal będziemy zaprzeczać dowodom? Czy globalizacja obojętności będzie nadal zagrażać i wytyczać naszą drogę? Niech lekarstwem będą przeciwciała sprawiedliwości, miłości i solidarności. Nie bójmy się żyć alternatywą cywilizacji miłości, która jest cywilizacją nadziei: przeciwko udręce i strachowi, smutkowi i zniechęceniu, bierności i zmęczeniu. Cywilizacja miłości jest budowana codziennie i nieprzerwanie. Wymaga to zaangażowanego wysiłku wszystkich. Potrzeba do tego wspólnoty braci.

W tym czasie ucisku i żaloby pragnę, abyście, gdziekolwiek jesteście, mogli doświadczyć Jezusa, który wychodzi wam na spotkanie, pozdrawia i mówi „Raduj się” (por. Mt 28,9). I niech to pozdrowienie będzie tym, co nas poruszy do wyznawania i rozszerzania Dobrej Nowiny o Królestwie Bożym.

PAPIEŻ FRANCISZEK O ŚWIĘTYM JANIE PAWLE II

Krzysztof Ołdakowski SJ



PRZY OKAZJI OBCHODÓW STULECIA URODZIN KAROLA Wojtyły mieliśmy wiele okazji, aby wysłuchać świadectw Papieża Franciszka na temat osoby i posługi poprzednika. Zwrócił on uwagę, że św. Jan Paweł II był wielkim świadkiem Chrystusa cierpiącego, umarłego i zmartwychwstałego. W specjalnym przesłaniu skierowanym do polskiej młodzieży, Ojciec Święty nazwał Jana Pawła II niezwykłym darem Boga dla Kościoła i swojej ojczyzny. Jego ziemską pielgrzymka była przepełniona zachwytem nad życiem, nad tajemnicą Boga, świata i człowieka.

HISTORIA ZNAJOMOŚCI OBYDWU PAPIEŻY

Z okazji setnej rocznicy urodzin Papieża Polaka do księgarń trafiła książka *Jan Paweł Wielki* będąca zapisem długiej rozmowy włoskiego księdza Luigi Maria Epicoco z Papieżem Franciszkiem, w której wspomina on zarówno wybranie go na najwyższy urząd w Kościele w 2013 roku, jak i osobiste spotkania z Karolem Wojtyłą. Już pierwsze słowa Papieża Polaka skierowane do wiernych po wyborze na następcę św. Piotra wywarły na Jorge Bergoglio duże wrażenie. To odczucie pogłębiło się, gdy usłyszał, że Wojtyła był kapłanem uniwersyteckim, wykładowcą filozofii, zdobywcą górskich szczytów, narciarzem, miłośnikiem sportu oraz człowiekiem modlitwy. Od razu zjednął sobie wielką sympatię późniejszego Papieża z Argentyny.

Pierwsze spotkanie Karola Wojtyły i Jorge Bergoglio miało miejsce w marcu 1987 roku, podczas drugiego pobytu Papieża Polaka w Argentynie. Było to w czasie, kiedy jezuita o. Bergoglio powrócił z Niemiec, gdzie przygotowywał doktorat. W jego prowincji panowała wówczas napięta sy-

tuacja mająca swe źródło jeszcze w czasach, kiedy w latach 1973–1980 stał na jej czele, a później – do 1986 roku gdy był rektorem Colegio del Salvador w Buenos Aires. Kilka lat później to właśnie z woli Jana Pawła II Jorge Bergoglio został biskupem. Przebywał wówczas w Córdoba, nieco na ubożu życia swojej prowincji zakonnej. W maju 1992 roku przyszedł papież Franciszek otrzymał telefon od nuncjusza apostolskiego, który poprosił o spotkanie. Kończąc rozmowę dyplomata papieski zakomunikował mu, że został mianowany biskupem pomocniczym Buenos Aires oraz, że cała sprawa została już uzgodniona z generałem zakonu. Jako biskup i wikariusz generalny stołecznej archidiecezji przyszedł papież spotkał się z Janem Pawłem II jesienią 1994 roku podczas Synodu Biskupów nt. życia konsekrowanego. Kontakty stały się częstsze po mianowaniu bpa Bergoglio najpierw arcybiskupem-koadiutorem, a następnie metropolitą Buenos Aires – w 1998 roku. Okazję to tych spotkań stanowił udział w synodach biskupów oraz wizyty *ad limina*. Podczas konsystorza w 2001 roku Bergoglio został mianowany kardynałem i gdy odbierał z rąk Jana Pawła II biret, pocałował go w rękę, czego nie czynili inni purpuraci, którzy przekazywali z Papieżem jedynie znak pokoju. Kiedy po ataku terrorystycznym na Nowy Jork we wrześniu 2001 roku tamtejszy arcybiskup kard. Edward Egan, który był głównym relatorem na październikowym Synodzie Biskupów, wrócił nagle do swojej archidiecezji, aby uczcić ofiary i towarzyszyć w bólu swoim wiernym, Papież mianował metropolitą Buenos Aires na tę funkcję. Synod obradował nt. roli i miejsca biskupa w Kościele, co także sprzyjało częstym kontaktom z Ojcem Świętym.

FRANCISZEK WIERNYM UCZNIEM ŚW. JANA PAWŁA II

Obu Papieży kształtowały podobne doświadczenia życiowe: młodzińska ciężka praca fizyczna, konfrontacja z systemem totalitarnym uderzającym w człowieka i swobody obywatelskie oraz wczesne podjęcie odpowiedzialnych zadań duszpasterskich.

Można powiedzieć, że Jorge Bergoglio jest wiernym uczniem św. Jana Pawła II. Oba pontyfikaty są głęboko zanurzone w Chrystusie. Z tego wynika konieczność obrony godności człowieka w każdych okolicznościach oraz głębokie pragnienie wyjścia do całej ludzkości, aby w imię Chrystusa nieść Ewangelię aż po krańce świata. Zarówno dla Jana Pawła II, jak i dla Franciszka bardzo ważne są jedność i solidarność, co zdaje się być niezwykle istotne także w obliczu panującego obecnie kryzysu społeczno-ekonomicznego. Franciszek kontynuuje nauczanie Papieża Polaka, równocześnie zachęcając do ponownego sięgnięcia do dziedzictwa swojego poprzednika. Przestrzega jednak przed ideologizacją myśli Jana Pawła II, która próbuje wyodrębnić tylko pewne aspekty przemysłów Papieża Polaka, prowadząc do formułowania sloganów, odrywając je tym samym od rzeczywistości, konkretnego kontekstu oraz żywych doświadczeń ludzi. Ideologia unicestwienia, zabija życie, zmienia nauczanie w eksponat muzealny oderwany od życiowych prawd. Aby ocalić wartość nauczania Jana Pawła II, trzeba bronić go przed wszelkimi formami ideologizacji i rozpoznać zawarte w nim prorocze wskazania, które nie tylko pozostają nadal aktualne, ale również wymagają pogłębienia, poważnego podejścia oraz odniesienia do realiów współczesności.

Już podczas Mszy kanonizacyjnej Jana Pawła II Papież Franciszek podkreślał, że jedną z cech charakterystycznych Świętego była radość. Uważał, że nie należy lękać się radości. Jest ona wyborem, decyzją, która rodzi się z głębokiej wiary w Kogoś, kto darzy nas miłością i zawsze ma na względzie nasze dobro. Radość zawsze towarzyszy spotkaniu ze zmartwychwstałym Chrystusem.

Druga rzecz, jakiej Bergoglio nauczył się od Jana Pawła II, to znaczenie miłosierdzia. Tutaj Papież z Argentyny wskazuje na „formacyjny” charakter encykliki *Dives in misericordia*, kanonizacji św. siostry Faustyny oraz ustanowienia Niedzieli Miłosierdzia Bożego. W świetle miłosiernej miłości Boga Papież Polak potrafił ukazać niepowtarzalność i piękno powołania kobiet i mężczyzn; rozumiał potrzeby dzieci, młodzieży i dorosłych, mając na uwadze także uwarunkowania kulturowe i społeczne. Wszyscy mogli tego doświadczyć. To, co łączy obu Papieży, to świadectwo dawane nie tylko umiłowaniem Pana Boga, ale także łagodnością i „normalnością”. Obaj pokazują swoim życiem, że chrześcijaństwo zamieszkuje w normalności osób, które trwają w głębokim zjednoczeniu z Chrystusem. Dlatego każdy ich gest, każde słowo, każdy wybór ma znacznie głębszą wartość i pozostawia trwałe ślady.

CECHY POSŁUGI PIOTRZEJ ŚW. JANA PAWŁA II WEDŁUG FRANCISZKA

Podczas homilii wygłoszonej podczas Mszy św. w kaplicy św. Sebastiana w Bazylice Watykańskiej 18 maja, a więc dokładnie w rocznicę urodzin Karola Wojtyły, Franciszek

zwrócił uwagę, że samo jego przyjście na świat było wyrazem miłości Boga do swojego ludu, który dał mu pastora, czyniąc go biskupem, a potem Papieżem. Ojciec Święty wskazał na trzy szczególne rysy życia św. Jana Pawła II. Pierwszym była modlitwa – Papież Polak uważał ją za swoje pierwszoplanowe zadanie, chociaż miał ogromnie dużo zajęć. Kiedyś Joaquín Navarro-Valls powiedział, że Karol Wojtyła modlił się cztery godziny dziennie, a nigdy się nie śpieszył. Wchodzenie w modlitwę było dla niego wejściem w inny wymiar istnienia. Przebywał całkowicie w Bogu, nawet gdy był otoczony wieloma ludźmi. Nie zwracał uwagi na błysk fleszy aparatów fotograficznych, na stuki mikrofonów, na pochrząkiwania zebranych wokół osób. Modlitwa była oddechem jego duszy. Sam Papież Bergoglio wspominał swoją obecność na nabożeństwie różańcowym, któremu przewodniczył Jan Paweł II. Był bardzo zbudowany, widząc, jak Ojciec Święty modlił się na kolanach do Matki Bożej, z oddaniem i żarliwością, od widoku których wzrastały serca obserwujących go osób.

Franciszek podkreślił również, że Jan Paweł II był człowiekiem, który zawsze pozostawał blisko swojego ludu. Wychodził w jego stronę na całym świecie. Każdy pojedynczy człowiek był dla niego najważniejszy. Z takim samym szacunkiem odnosił się do bogatych i biednych, do dorosłych i dzieci, do przywódców państw i wykluczonych, do zdrowych i chorych. W ten sposób wskazywał na bliskość samego Boga, który nigdy nie pozostawia swojego ludu. Jan Paweł II był pasterzem bliskim swojemu ludowi, tworzył wokół siebie rodzinną atmosferę, nawiązywał osobiste relacje, którym był wierny przez całe życie. Dał swoim życiem wyrazisty przykład tego, jak być blisko zarówno wielkich, jak i małych.

Obecny Papież bardzo cenił w św. Janie Pawle II umiłowanie pełni sprawiedliwości. Był on człowiekiem, który bardzo pragnął pokoju pomiędzy narodami oraz pokoju społecznego opartego na szacunku dla godności każdego człowieka. Dlatego był świadkiem miłosierdzia, gdyż sprawiedliwość i miłosierdzie idą w parze, nie można ich rozdzielać: sprawiedliwość jest sprawiedliwością, a miłosierdzie jest miłosierdziem, ale są one nierozłączne. Jan Paweł II jak nikt inny zrobił wiele, aby ludzie zrozumieli, czym jest miłosierdzie jako pierwsze imię Boga. On czuł, że sprawiedliwość Boża ma oblicze miłosierdzia.

Franciszek podkreślił, wskazując na Jana Pawła II, że trudności, nawet największe, są próbą dojrzałości i wiary. Z próby tej wychodzi się zwycięsko tylko wtedy, gdy czerpie się z mocy Chrystusa, który za nas umarł i zmartwychwstał. Jan Paweł II przypominał o tym całemu Kościołowi już w swojej pierwszej encyklice *Redemptor hominis*, w której pisał: „Człowiek, który chce zrozumieć siebie do końca [...] musi ze swoim niepokojem, niepewnością, a także słabością i grzesznością, ze swoim życiem i śmiercią, przybliżyć się do Chrystusa. Musi niejako w Niego wejść z sobą samym” (nr 10).

O. KRZYSZTOF OŁDAKOWSKI SJ – jezuita, duszpasterz, kierownik duchowy, dziennikarz, pracuje w Dykasterii ds. Komunikacji Stolicy Apostolskiej.

CHRZEŚCIJAŃSTWO I ŻYCIE KOŚCIOŁA W NOWYCH SYTUACJACH ŚWIATA

Andrzej Koprowski SJ

OD DŁUŻSZEGO CZASU, NIEZALEŻNIE OD SYTUACJI pandemii, wraca wypowiedź Josefa Ratzingera sprzed kilkudziesięciu lat o nadchodzącym głębokim kryzysie życia zsekularyzowanych społeczeństw i dotychczasowych form życia Kościoła, zmarginalizowanego i niewnoszącego Ducha oraz sensu wspólnoty w coraz bardziej podzielone i laickie społeczeństwa. Ratzinger zapowiadał, że w tej sytuacji chrześcijaństwo, mała wspólnota, skoncentrowana na tym, co istotne, na Słowie Boga i mocy zbawczego dzieła Chrystusa, w dużej mierze odmienna od obecnych struktur, będzie motorem i ukierunkowaniem rozwoju, znakiem sprzeciwu wobec wszelkich partykularizmów ograniczających życie człowieka. W ostatnich latach dostrzeżono wyraźniej to wszystko w kontekście nie tylko życia człowieka jako osoby i jako wspólnoty, ale także świata, całości stworzenia, szeroko pojętej ekologii. Nie pretendując do przyspieszania procesów, trzeba robić co możliwe dla dojrzałego przygotowania się do nich, do przywrócenia wyrazistości chrześcijaństwu, jakim żyjemy dziś.

Biblista włoski, który stanowi podstawę naszych wielu rozważań, Francesco Rossi de Gasperis, kiedy po raz pierwszy przyjechał do Ziemi Świętej, był zaskoczony tym, jak można stale głosić kerygmat Arabom o ucieczce z Egiptu; kerygmat kontrastujący z ich kulturową, społeczną historią. Ziemia Jezusa okazała się sposobnym terenem dla pokazania nowości życia, często znaku sprzeciwu wobec takiej gonitwy życia, jakby Boga nie było. Szybkość przemian, pandemia, której rozwój jest trudny na razie do przewidzenia, wprowadziły niespodziewane zmiany w styl życia jednostek, środowisk, społeczeństw, nieraz budząc nowe punkty zapalne, jak choćby reakcja na zamykane kościoły. Dotknęły one problemów życia indywidualnego i wspólnotowego, wydobły powierzchowność postaw. Stanowią jednak dla nas także okazję do głębszego wnikięcia w samych siebie; do dostrzeżenia naszych rozprożeń i mentalnych uwikłań; czasem do przewartościowania postaw Kościoła, ludzi Kościoła, krytycznego dostrzeżenia fałszywego uwikłania w ideologie i nurty życia, wpływu tego uwikłania na bieg historii. Do przywrócenia akcentu na znaczenie wyrazistości osoby, jej postaw, wyborów.

Niedawno zmarły generał jezuitów, Adolfo Nicolas, pisał: „W pewnym okresie my, zakonnicy, byliśmy pytani o nasze życie w Kościele i o siłę przyciągania naszego świadectwa. Nie potrzeba szczególnej inteligencji, ani jakiejś głębokiej analizy, by zauważyć, że to, co nazywamy „życiem zakonnym” nieco straciło swą moc tak w Kościele, jak i poza jego ramami. (...) Co straciliśmy? Gdzie popełniliśmy błędy? Daliśmy się oszukać wezwaniom do podjęcia form odnowy? Pozostaliśmy bez celu? Co w tym było obecne, a co wydaje się, że straciliśmy? Myślę – zauważa Nicolas – że ich siłą było to, że byliśmy całkowicie ukierunkowani. Nasza świadomość i postawy, były przeniknięte,

zdobyte Duchem, ogniem, życiem i stylem Chrystusa, i takimi pozostały, całkowicie ukierunkowane, doświadczając swej głębi, kształtując swoje życie wewnętrzne wokół tego nowego centrum. Dotykał głęboko tego w tym doświadczeniu, sprawiał, że każdą inną sprawę przeżywalismy w jej ogniu, jej świetle, dzieląc się z innymi ogniem i światłem. Stały się światłem dla pokoleń osób poszukujących podobnej głębi i niespodzianek istnienia na tej głębokości. W porównaniu z tymi Świętymi (Ignacym Loyolą, Franciszkiem Ksawerym, Janem od Krzyża, Teresą z Ávila – przyp red.) wydaje się, że my jesteśmy w dużej mierze, «rozproszeni». W dalszej części wypowiedzi Nicolas wylicza sektory, formy życia rozproszonego. Od „bycia rozproszonymi na modlitwie” do „bycia rozproszonymi w życiu”. Czytamy następnie: „(...) rzeczywistym rozproszeniem jest moje życie, a nie moja modlitwa. To otworzyło mi oczy na świadomość i na jeden z najbardziej tradycyjnych środków modlitwy ignacjańskiej: rachunek sumienia”. Dalej Nicolas omawia „Łatwe pokusy bycia rozproszonym”: „Rozproszenia «ogólne, powszechne» każdej społeczności ludzkiej. Często te rozproszenia są częścią «powszechnego odczucia», jeśli ich nie przyjmiesz, bywasz uważany za dziwaka, niewiarygodnego, czasem także za nielojalnego zdrajcę grupy. (...) Czynniki, jakie przynależą do jednoczenia się społecznego, etnicznego i kulturowego. Zakonnicy, ale i świeccy działacze katoliccy, włączeni w takie grupy, ulegają im, stają się «przyczynami» ograniczającymi cały idealizm ich młodości na tyle, że kończą potem jako wyraziciele bardzo ograniczonych interesów społecznych, etnicznych czy kulturowych. Inną «łatwą» pokusą jest emocjonalny związek z grupami, które mają jakąś formę kompleksu. Grupy, które w przeszłości doznawały ucisku lub niesprawiedliwości i teraz wykorzystują to fatalne doświadczenie jako usprawiedliwienie dla rewindykacji statusu wiecznej «ofiary», by teraz żyć w uprzywilejowanych warunkach. Chrześcijanie, którzy chcą reprezentować Ewangelię Jezusa Chrystusa, mają skłonność do bycia słabymi wobec ideologii czy myślenia ideologicznego. Będąc gotowi do całkowitego zaangażowania, łatwo rzutujemy całą prawdę na każde zaangażowanie, do którego stajemy się ślepi wobec odcieni, dwuznaczności oraz sprzeczności w wizji świata jako «biało-czarnego»”.

Nicolas podaje przykład, tyżący jezuitów, ale i szerokich społeczności na kontynentach. Podziały między tymi, którzy byli zaangażowani w sektory społeczne, i tymi, którzy byli w sektorze edukacji; tymi, którzy byli zaangażowani w posługę ubogim, i tymi, którzy pracowali wśród elit, nie zdając sobie sprawy, że jest to działanie ideologiczne, że opcja preferencyjna na rzecz ubogich winna być wyborem z serca, z wnętrza, podobnie do tej, jaką Jezus odczuwał wobec biednych ludzi. Bez tej istotnej intuicji traktowaliśmy „opcję preferencyjną” jako „zobowiązanie moralne”, wymagając tego

od wszystkich, pod groźbą, że bez tego jesteśmy mniej chrześcijanami, mniej zaangażowani, mniej ewangeliczni.

Nicolas zwraca uwagę na rozproszenie wywodzące się z poszukiwania dobra, posłuszeństwa Bogu, wzrostu duchowego. Określa *perfekcjonizm* jako rozproszenie narcystyczne. Jesteśmy rozproszeni naszym dążeniem do doskonałości. Święci są nam tutaj wielką pomocą – naśladowali Chrystusa, nie byli rozproszeni przez jakiś aspekt samych siebie, jaki mógłby pojawić się na ich drodze. Stosunkowo łatwo określić te rozproszenia w nas samych czy innej osobie – zauważa Nicolas – ale jest trudniej zidentyfikować je w grupie czy instytucji, w której pracujemy. Do tego dochodzą „rozproszenia dodatkowe», takie jak kompetencje, ustawiczna potrzeba bycia na bieżąco w technologii, posiadanie gadżetów elektronicznych, wykorzystywanie nowych możliwości komunikacji itp. Instytucja może usiłować zrobić z perfekcjonizmu normę wymiernego rozwoju i gwarancję przyszłości w świecie trudnych rynków”. Podstawowym rozproszeniem jest – według Nicolasa – *ego, Ja*. Jezuita opisuje specyfikę tego rozproszenia w następujący sposób: „Dystrakcja pojawia się, gdy przedmiot naszego umysłu i naszego serca nie jest na swoim miejscu. Doświadczenie sprzeczności i trudności stanowi część życia i przekazu Ewangelii. Osoba rzeczywiście duchowa żyje tym doświadczeniem z ogromną wolnością wewnętrzną prowadzącą ją do ogromnej bliskości z Bogiem, z prawdą i ubogimi. (...) Mniej duchowi przeżywają trudności i wszystko widzą jako spisek przeciw sobie. Czują się prześladowani, tracą pokój wewnętrzny i radość. Bycie skupionymi na *Ja* niezrozumiałym czy zranionym prowadzi do ogromnego rozproszenia. Proces tego rodzaju dokonuje się, kiedy w podejmowaniu decyzji nie koncentrujemy się na woli Boga, której nie możemy ani kontrolować, ani nie możemy nią kierować, ale na opinii innych, albo na opinii traktowanej jako ważna, tak w ocenie tych, których miłujemy czy czcimy. Nazwałbym to «rozproszeniem popularności», ma ono miejsce w zastępowaniu procesu decyzji przez płynny i nigdy nie kontrolowany proces rozeznawania uwarunkowany łatwiejszym odczuciem i działaniem według dynamiki grupy, także osób pobożnych i godnych szacunku. Wtedy – dodaje Nicolas – ludzkie horyzonty ludzkie i duchowe zawężają się. Kiedy św. Ignacy daje osobom kończącym *Ćwiczenia duchowe* pewne reguły dotyczące właściwego *sentire* i działania w Kościele, stara się, by uwolniły się od rozproszenia powodowanego wąskimi horyzontami”. (...) często decyzje osobiste czy decyzje grupy, określane jako owoc rozeznawania osobistego i wspólnotowego, w rzeczywistości są tylko wyborami ideologicznymi przybranymi w język rozeznawania, ale pochodzą z procesu, który tylko formalnie przypomina prawdziwe rozeznawanie. W takich wypadkach także teologia staje się narzędziem interesów ideologicznych i staje się rozproszeniem”. Jako chrześcijanie, jako organizm, ciało, jako wspólnota wiary, misji, miłości zaangażowaliśmy się, by znaleźć wolę Boga wspólnie. Jest to trudne, zwłaszcza dla osób mających swoje wizje, bardziej zaangażowanych w jakąś jedną czy drugą istotną sprawę. Możemy stać się prorokami poza wspólnotą, dopóki ci, którzy mają władzę, chcą nam narzucić milczenie. Gdy się tak dzieje, wtedy biegniemy do wspólnoty, aby szukać opieki,

także często narzekając, że wspólnocie i jej liderom brak zrozumienia, odwagi, wizji, wsparcia.

Do rozprożeń najbardziej powszechnych i najłatwiejszych w identyfikacji Nicolas zalicza rozproszenia przez media, gadżety, Internet itd.: „Potrzebujemy mediów i gadżetów. Nie to jest problemem. Ale dlaczego czujemy się jakby gorszymi, jeśli nie dostosowujemy się do tej rzeczywistości? Dlaczego czujemy się źle w naszej różnorodności? Dlaczego jest tak ważne dla nas, by być zaakceptowanymi, by być jednym z grupy? Jesteśmy rozproszeni, ponieważ nie decydujemy o czymś więcej. Pozwoliliśmy na to, że media określają nową ortodoksję, nowy styl myślenia, nowy kanon «prawdy», który w rzeczywistości nie jest już prawdą, ale opinią publiczną sztucznie stworzoną, akrytyczną. Sp osób, w jaki rozwija się nowa kultura informacji, konfrontuje nas z wyborami głębi. Chcemy informacji czy zrozumienia? Szybkości czy wnikliwości? Chcemy być skoncentrowani na Chrystusie czy nawigować w sieci?»

Innym rodzajem rozproszenia wymienianym przez Nicolasa są zwyczaje, przyzwyczajenia, tradycje, rytury, formy pobożności, uprzywilejowane teorie. „Są to rozproszenia – doprecyzowuje jezuita – które w sposób szczególny uderzają nas, zwłaszcza bardziej osadzonych w życiu publicznym Kościoła, z powodu długiej, często powierzchownej formacji intelektualnej oraz w sytuacji, gdy wzrost intelektualny nie kończy się modlitwą, adoracją, posługą. Są szczególnie rozbijające, ponieważ dokonują się wewnątrz Kościoła i życia wiary. Jesteśmy kuszeni, by myśleć, że to, co nie zgadza się z moimi teoriami, nie ma znaczenia; że jeśli nie mogę znaleźć «sensu», to coś jest «bez sensu». Przyjmujemy typową niedojrzałą postawę «wszystko lub nic», wmiawiając sobie, że jeśli z czymś się nie zgadzam, musi to być bez znaczenia. Św. Ignacy walczy z tą tendencją regułami właściwego czucia z Kościołem. Nie był uzależniony od tego, co miało znaczenie dla niego, ale co miało znaczenie dla ludzi swojego czasu, prostych członków Kościoła. Czasem chwalimy się: «Nie przyjmuję tego, co mi się nie podoba». Ignacy mówi, by przyjmować wszystko, co pomaga ludziom w pobożności, w modlitwie, w czuciu się blisko Boga i Kościoła. Jego reguły mają charakter duszpasterski i są wyraźnie ukierunkowane. Poprzez nie Ignacy mówi, by nie być rozproszonym przez *Ja*, przez nasze idee, przez to, co mi się podoba czy nie podoba, przez nasze opinie i teologie, aby być uważnymi na osoby, które idą i żyją w obecności Boga. Zapomnij o sobie i podejmij życie dla tych osób”.

OD ROZPROSZENIA KU ZAANGAŻOWANIU: ZAPROSZENIE DO CENTRUM

Wielcy jezuita ukazują się jako ludzie scaleni: zintegrowani, solidni, pełni poświęcenia, mający swoje centrum i niedający się rozproszyć rzeczom płytkim.

Blizsze spojrzenie na naszą historię może być wielką pomocą. Wszyscy jesteśmy dumni z naszej historii i ludzi wybitnych, którzy współtworzyli zakon. To, co ich wyróżnia, a nas może wręcz uderzać, to ich całkowite zaangażowanie w powołanie i misję. Były to osoby, które ofiarowały wszystko i pozostały skoncentrowane na celu ostatecznym – złożeniu daru z siebie Bogu i wspólnocie. Wspomnimy tylko niektóre nazwiska jezuitów, do których można by dodać wiele

innych – fundatorów: Ignacego, Ksawerego, Favre’a...; twórców: Anchieta, Vieira, Castiglione, Pozoo...; pionierów: Riccio, De Nobilię, Brebeufa, Theialrda, Arrupe...; mistyków: Ignacego, Ksawerego, Colombière’a, Teilharda...

Wspomnienie tych osób stanowi zaproszenie do wejścia do Centrum: Centrum w Bogu i Centrum w nas samych, w naszym powołaniu w Kościele, też w Towarzystwie, w środowiskach opartych o duchowość ignacjańską, o inspirację i specyfikę naszych parafii, dzieł. Powołanie i misja, jaką otrzymaliśmy od Pana i odziedziczyliśmy od naszych poprzedników, też jako Kościół w Polsce, nie pozwalają być naśladowcami czy sługami „rozproszonymi”. Pan nadal woła, poprzez sakrament chrztu i więź wiary, byśmy naśladowali Jego Syna. Woła osoby, które pozostają wrażliwe na to, że są w społeczności na drodze zbawienia całej ludzkości. Zadanie pozostaje ogromne i wymagające, jak zwykle, ponieważ zaczynamy rozumieć, że plan Boga jest także planem dla całego świata, a nie tylko dla rodziny ludzkiej. Obecność Boga w całym stworzeniu przekształca naszą misję z odniesieniem do Księgi Rodzaju i Listów Pawła, ponowionymi w niedawnych apelach Ojca Świętego Benedykta XVI. Kolejny raz słyszymy Ignacego, który przypomina, że ci, którzy chcą odznaczyć się w służbie Pana, zaangażują całe swoje życie i trud.

Refleksja Nicolasa wpisuje się w szerszy nurt krytycznej refleksji o postawach wspólnot kościelnych. W Polsce zaskakująco mało uwagi zwrócono na niedawno sformułowane Słowo Konferencji Episkopatu Niemiec – bardzo zniuansowane, wyważone, pokazujące, jak ideologiczne uwikłania rzutowały na postawy świeckich, biskupów, Konferencji jako takiej, oraz jakie miało to konsekwencje dla życia międzynarodowego ostatnich dwóch stuleci. Odważnie wskazując błędy, Episkopat Niemiec dokonał kroku w poszukiwaniu ponownego oparcia wszystkiego na zawierzeniu Panu Jezusowi, także w czasie sekularyzacji i pozornego zaniku sensu wiary.

„SŁOWO” BISKUPÓW NIEMIECKICH

„Słowo” biskupów niemieckich na 75. rocznicę zakończenia drugiej wojny światowej 29 kwietnia opublikowano w Bonn. Jest jednostronnym i odważnym aktem wyznania win, że w okresie hitlerizmu i w czasie II wojny światowej biskupom niemieckim zabrakło odwagi, by powiedzieć zdecydowanie „nie” nazistowskiemu systemowi i wojnie, a raczej pojawiały się z ich strony słowa umacniające, a więc czyniące ich „współwinnymi” – jak napisano. Autorzy „Słowa” stwierdzają wprost, że Kościół w Niemczech był w okresie II wojny światowej częścią „wojennego społeczeństwa”, a bp Heiner Wilmer z Hildesheim, przewodniczący niemieckiej Komisji *Iustitia et Pax* (Sprawiedliwość i pokój) podczas prezentacji dokumentu stwierdził, że wiele „niezaprzeczalnych faktów historycznych” dotyczących postawy biskupów niemieckich wobec wojny wskazuje na „uwikłanie”.

List jest przestrożą przed zaniechaniem, pośrednio zachęca do odwagi w zajmowaniu stanowiska wobec aktualnych problemów społeczno-politycznych nie tylko w Niemczech. Jest krokiem w kierunku przywrócenia wyrazistości Kościoła jako narzędzia ewangelizacji, jako społeczności idącej z Galilei, mocą życia, męki i zmartwychwstania wnoszącego nowość w horyzonty i klimat życia ludzi.

KULT ŚWIĘTYCH

Andrzej Koprowski SJ

CZĘSTO PATRY SIĘ NA KOŚCIÓŁ JAKO NA MONOLIT, instytucję. Potem zauważa się, że dominujące w mediach krytyki Kościoła kontrastują z pozytywną oceną konkretnych ludzi dotyczącą „ich parafii”, wspólnoty, do której należą. Jest w tej wspólnotie „coś z instytucji”, ale przede wszystkim jest przestrzeń dla ducha, okno otwarte na trwałe, na życie, przełamujące zamknięcia w tym, co teraz; okno otwarte na wieczność.

W Warszawie przy ulicy Rakowieckiej jesteśmy związani z Sanktuarium św. Andrzeja Boboli. Przyjeżdżają pielgrzymki z różnych miejsc Polski, czasem i z zagranicy. Przyciąga je srebrna trumna umiejscowiona pod głównym ołtarzem i widoczna postać Świętego, która nie rozpadła się, nie rozsypała się przez wieki, mimo tragicznych wydarzeń, mimo traktowania jej jako okaz w Muzeum Ateizmu w Moskwie, gdy przez kilka lat rzucono nią o ziemię.

Uderza też swoista surowość miejsca, brak „klimatu odpustowego”, jaki często znajdujemy w innych miejscach pielgrzymek związanych z czczonymi tam świętymi. Wokół Sanktuarium działa grono osób świeckich w sposób szczególnie związanych z postacią św. Andrzeja Boboli. Mają przyjazny, można powiedzieć „codzienny” kontakt z Ojcem Proboszczem, kilkoma księżmi bezpośrednio zaangażowanymi w pracę parafii. Każdego tygodnia w jednej z Mszy św. przy ołtarzu z relikwiami uczestniczą klerycy jezuitcy studiujący teologię na znajdującym się w tym samym kompleksie budynków Wydziale Teologicznym Collegium Bobolanum. Jest wiele grup, wspólnot, mniejszych środowisk osób świeckich, wspomagających się w życiu będącym jednocześnie drogą wiary. W wyjątkowych okazjach, głównie świąt liturgicznych, gdy Sanktuarium gości ordynariuszy diecezji warszawskich, kardynała Kazimierza Nycza, biskupa Romualda Kamińskiego czy biskupów z całej Polski i zagranicy, pojawiają się liczniej także „jezuici z Kolegium”. Nie towarzyszy temu jednak – jak już wspomniałem – „klimat odpustowy”, działalność Sanktuarium nie skupia się wyłącznie na pielęgnowaniu kultu Świętego Andrzeja. Czasem pada nawet pytanie: „Czy jezuici nie czczą swojego patrona?” – pytanie, na które warto spróbować odpowiedzieć.

Duchowość zakonów oparta jest zwykle o duchowość ich założyciela. Franciszek z Asyżu, jego wrażliwość na ubóstwo, otwarcie na biednych – franciszkanie; Dominik, walczący głosiciel nauki Kościoła – dominikanie; Franciszek Salezy z jego troską o dzieci, o ich kształcenie, wychowanie – salezianie, itp. Także Kościoły lokalne w poszczególnych krajach są związane z patronami, jak choćby Polska i św. Wojciech oraz św. Stanisław, od pewnego czasu także właśnie św. Andrzej Bobola. Jak jest z jezuitami? Ich założycielem jest Ignacy Loyola. Członkowie zakonu nie nazwali się jednak ignacjanami ani loyolami, ale Towarzystwem Jezusowym, potem przyjęło się skrótowo mówić: jezuici. Nie jest to przypadek. Ignacy jest założycielem Towarzystwa. Opiera się ono o doświadczenie du-

W TOWARZYSTWIE JEZUSOWYM

chove znad Cardoneru, o to, co późniejszy Święty zawarł w tak zwanych *Ćwiczeniach duchownych*, w doświadczeniu, które spisał, a które w ciągu kilku wieków stało się pomocą w rekolekcjach nie tylko dla jezuitów. Duchowość jezuitów opiera się o doświadczenie Świętego, wspomagając się trzema tekstami: *Autobiografią Ignacego*, *Konstytucjami* jego autorstwa oraz skrótom, czyli tzw. *Formułą Instytutu*, którą napisał. Znamienne, że modyfikacje, także współczesne, starają się odnieść tekst *Konstytucji* do warunków kulturowych, społecznych danej epoki, ale bez naruszenia tekstu pierwotnego. Krakowskie wydawnictwo jezuitów, WAM, w 2001 roku wydało tom: *Konstytucje Towarzystwa Jezusowego wraz z przypisami Kongregacji Generalnej XXXIV oraz Normy Uzupełniające, zatwierdzone przez tę samą Kongregację* (wcześniej wydane w Rzymie przez Kurię Generalną TJ w 1995 roku). Zawierają one także *Przedmowę do pierwszego wydania Konstytucji z 1559 roku: Formuły Instytutu Towarzystwa Jezusowego zatwierdzone i ponownie potwierdzone przez Papieża Pawła III i Juliusza II; Konstytucje Towarzystwa Jezusowego napisane przez św. Ignacego Loyolę*. Przełożony Generalny Peter Hans Kolvenbach SJ w przedmowie podkreślał: „To, co Kongregacje Generalne z upływem czasu ustaliły jako prawo i co uznano za konieczne do zachowania, by dokonać przystosowanej odnowy naszego życia i pracy apostołowskiej jako właściwe i aktualne wyrażenie ducha zawartego w Konstytucjach, trzeba było na nowo sformułować, opuszczając to, co zbędne lub przestarzałe, i uporządkować według poszczególnych części Konstytucji, ciągle się do nich odwołując, przedstawiając to jako ‘Normy Uzupełniające’, zatwierdzone przez Kongregacje Generalną, które tylko ona może zmienić. By jaśniej wyrazić wewnętrzną łączność tych dwóch części naszego prawa i żeby wyraźniej było widać między nimi ciągłość duchowej inspiracji, należy je w przyszłości wydawać w jednym tomie”.

Duchowa inspiracja i teksty, które w oparciu o nią napisał Ignacy, nie koncentrują się na szczegółowych formach pracy, nie mówią o problemach ówczesnej współczesności, ale skupiają się na dziele zbawienia, zwłaszcza na osobie Jezusa Chrystusa. Ignacy usunął się w cień. Znaczące, że w *Autobiografii* Ignacy nie mówi nic o Erasmusie z Rotterdamu, o którym mówili wtedy wszyscy, będąc za lub przeciw. Ignacego nie obchodziły polemiki, ale to, co trzeba zrobić. Nie znaczy, że miał oczy zamknięte na to, co się dzieje, ale nie był zwykłym obserwatorem. Był zdecydowany, by wnieść to, czego chce Pan; by żyć w konkretnej, codziennej więzi ze zbawiającym Jezusem. Dla nas dziś jest to wezwaniem, by nie poddawać się anestezjologii mediów, uspieniu tego, co jest na-



szym zadaniem, by nie rozpraszać się zewnętrznym świętowaniem, ale starać się iść drogą ewangelizacji ze świadomością, że ludzkość gubi wycucie istnienia Boga i dzieła zbawczego. Gubi wrażliwość na historyczność Słowa, które stało się Ciałem w Jezusie Chrystusie; wyzbywa się odpowiedzialności za kontynuację dzieła, dla którego Pan powołał Kościół. Co robić, widząc te braki, dekadencję kultury? Nie dać się wciągnąć w te zawirowania i polemiki, tylko trwać przy tym, co teraz mam zrobić dla Chrystusa, i to nie w pojedynkę, ale jako wspólnota jezuitów w Kościele. Czas Ignacego były czasami wielkiego kryzysu Kościoła, ale Loyola był świadom, że ciągle jest to Kościół Jezusa Chrystusa, powołany przez Niego jako narzędzie zbawienia ludzkości, narzędzie przemiany świata. Dlatego tak bardzo związał nowo powstający zakon z papieżem.

Zapatrzony w osobę Jezusa, kluczowe dla Ignacego, takim pozostało i dziś dla jezuitów. Kiedy czytamy *Autobiografię*, widzimy, że zwrot ku Jerozolimie pozostaje pierwszorzędnym w całej drodze nawrócenia. Ignacy jest przekonany, że ma iść do Jerozolimy i tam pozostać, by podążać drogą Jezusa. Kiedy zobaczy, że niemożliwe jest dalsze pozostawanie w Jerozolimie, jest zmuszony zrobić krok wstecz, aby pozostać w zgodzie z wolą Bożą. Wraca do Hiszpanii. Po piętnastu latach znowu decyduje się jechać do Jerozolimy, tym razem z pierwszymi towarzyszami. Przez rok czekają na odjazd. Nie udaje się im nawet wyruszyć. Jeszcze dziesięć dni przed śmiercią, 20 lipca 1556 roku, myśli o zwróceniu się do franciszkanów z projektem fundacji Kolegium Towarzystwa w Jerozolimie, które dwa lata wcześniej papież Juliusz III zaakceptował jako projekt do podjęcia. Franciszkanie decydujący o sprawach Kościoła w Ziemi Świętej byli temu wszystkiemu przeciwni, bojąc się chaosu, jaki mógłby spowodować nowy podmiot apostołski w tym skomplikowanym kraju. Myśl o Jerozolimie, ciągle odniesienie do Jezusa i miejsc istotnych z punktu widzenia historycznego i geograficznego, realiów życia Jezusa, istotnych dla zbawienia świata, towarzyszyła Ignacemu w całym procesie, który doprowadził do powstania zakonu. Przyszły święty robił, co mógł, by pozostać w Jerozolimie. Konkretnie ziemi Jezusa jest dla Ignacego fundamentem chrystopologii, eklezjologii i misji apostołskiej. Dlatego w *Ćwiczeniach duchow-*

nych naciska, by rekoлектant dokładnie wnikął w historię tego, co działo się w Nazarecie, Galilei, Jerozolimie, w prawdziwym fundament historii. Ale rozmowa z prowincjałem franciszkanów – jako akt posłuszeństwa wobec Boga – zdecydowała o tym, by wrócić do Europy. Bóg chce, bym był posłuszny. Bóg jest obecny w tym, co jest mediacją.

Przy decydującym o charakterze zakonu związku z papieżem, uwaga Ignacego, zwrócona ku Jerozolimie, chroni potem zakon przed przechyłami socjologiczno-monarchicznowatykańskimi. Okazuje się ważna dla pogłębionego, ale i zrównoważonego ustalania problemów „piramidy kościelnej”, nieomyślności papieża, stylu papieżstwa, relacji Kościoła Rzymsko-Katolickiego z resztą katolicyzmu i chrześcijaństwa, itp. Jerozolima jako „punkt wyjścia” i stała się punktem odniesienia zabezpiecza widzenie Kościoła jako ziarna wrzuczonego w głębię historii świata, aż po krańce ziemi i czasu; jako misterium, jako projekcję sakramentalną oblubienicy Chrystusa, ukrzyżowanego, ale i zmartwychwstałego, siedzącego po prawicy Ojca. Oto metodologia misyjna, która uwzględnia nie tylko ludzi z własnego podwórka, własnej wioski, ale ludzi całego świata, mówiących różnymi językami, ludzi różnych ras, kultur, sytuacji życiowych. Ceną, jaką się płaci, jest ciągle dostosowywanie samego siebie, by zrozumieć tych, do których idziemy, by im zanieść wydarzenie zakorzenione w Jerozolimie, w Ziemi Świętej.

Już od wiosny 1540 roku, kiedy jezuita zaistnieli jako zgromadzenie zakonne, przeważała misja, a nie „bycie razem”. Faber i Laynez w Parmie, Piacenzy i Bobadilla w Neapolu, Rodriguez w Sienie. W Rzymie zostało sześciu, ale Ignacy wysyłał właśnie Salmerona i Codura do Szkocji. Król portugalski poprzez papieża i ambasadora portugalskiego zabiegał o dziesięciu jezuitów do Indii, czyli do Ameryki. Tylu nie było, dwóch pojechało do Lizbony – Franciszek Ksawery i Paolo de Camerino. Ostatecznie Ksawery wyłożył nie w Ameryce, a w Goa, w 1542 roku, wiosną zaś w Mozambiku. W Rzymie zostało trzech: Broet, Jay i Ignacy. To wszystko uzasadnia ślub specjalnego posłuszeństwa papieżowi w sprawach tyczących misji jako gwaranta perspektywy uniwersalnej powołania apostołskiego jezuitów. Ślub posłuszeństwa w perspektywie misji. Specjalna więź z papieżem, ale i akcent specjalny na klimat-styl życia jako przyjaciół w Panu.

Nie jesteśmy zakonem pustelniczym ani rezydencjalnym. Dwa akcenty są istotne: prymat misji i przyjaciele w Panu. W Konstytucjach podkreśla się, by przewidzieć środki do realizacji misji, ale też pamiętać, że istotny jest duch. Należy uważać, by nic nie osłabiało mocy i skuteczności apostołskiej jezuitów. Ignacy ma wielkie zaufanie do swoich współbraci, do doświadczenia duchowego, jakie zyskali przez praktykę *Ćwiczeń duchownych*. Życie jezuitów jest życiem samotników stanowiących wspólnotę. Żyją we wspólnocie, ale przede wszystkim każdy z nich w osobowej więzi z Panem Jezusem Chrystusem dla misji ewangelizacyjnej. Odpowiedzialność osobowa jest wyrazem przekonania Ignacego, że w nowym przymierzu Duch Pana prowadzi osobowo każdego, społeczność, Kościół. Z naszej strony trzeba zrobić co możliwe dla dojrzałości osób, ich rozumienia wolności, więzi z Kościołem. By być *społecznością przyjaciół w Panu*.

Podstawowe dokumenty prawne określają „nasz sposób życia”; formy tego, by jak najpełniej oddać wszystko Bogu

poprzez służbę apostołską Kościołowi, i d a c. To różni nas od życia monastycznego. D r o g a, zaangażowanie jako sposób uświęcenia. Bez przywiązania do osób, miejsc, miłując wszystkich, wielu. „Samemu i pieszo” – to cecha drogi Ignacego. Zatrzymywał się w szpitalach, świadczył posługę chorym. Jak to określał w *Ćwiczeniach duchownych*, patrząc na różnorodność świata: biali i czarni, ubodzy i bogaci, w wojnie i pokoju, zdrowi i chorzy. Towarzystwo Jezusowe rozproszone jest w misji apostołskiej właśnie w ten sposób.

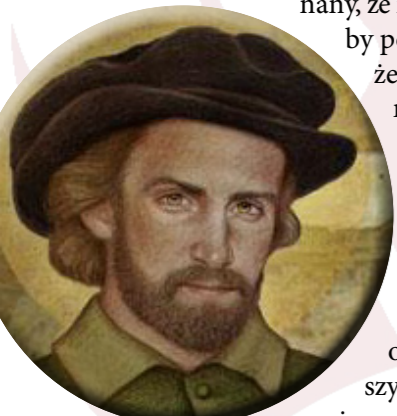
Już w *Principio e fundamento* Ignacy mówi: człowiek jest stworzony, aby Pana Boga czcił, służył Mu, a przez to zbawił swą duszę. Wszystkie rzeczy stworzone są po to, by mu pomagały w realizacji tego celu. Jestem członkiem Towarzystwa Jezusowego, które jest powołane, aby pomagać innym w zrealizowaniu ich celu. *Ayudar las ánimas* pomagać duszom, jest kluczem do zrozumienia duchowości Ignacego, jego więzi z Kościołem i sensu istnienia zakonu. Duch jest siłą nadającą kierunek całej osobowości ku realizacji ostatecznego celu. Nie jesteśmy *ordine predicatori*, ale „przyjaciółmi w Panu i dla Pana”. Przyjaźń jako fundament Towarzystwa Jezusowego. *Amici nel Signore* stawia wysokie wymagania, nie dotyczy tylko osób jako takich, ale osób w ich odniesieniu do Pana, do tego, co robią, mogą zrobić, co powinni zrobić dla Pana. Przyjaźń zbudowana na służbie Panu. W ten sposób wymiana darów duchowych w praktyce stawia w centrum rolę *Ćwiczeń duchownych*, wrażliwość na Pismo św.; to, co sprzyja „akompaniamentowi duchowemu”. Posługa sakramentalna idzie za tym, tworzy całość posługi Towarzystwa Jezusowego Kościołowi, przy tym wymaga starania, by wejść w kontakt z Duchem obecnym w drugim człowieku. Tak zaczyna się więź apostołska. Dla zrozumienia tego aspektu – ciekawe są instrukcje, jakie Loyola dawał trzem jezuitom wysłanym na Sobór Trydencki – dotyczące relacji z innymi, pomocy duszom, większej wymiany duchowej w relacjach z innymi. Nie jesteśmy po to, by brylować w ubogich w treści duchowe kontaktach publicznych, choć nasze powołanie wymaga, by być i na salonach. Być po to, by wniesić treści duchowe, które pomogą innym odnaleźć swoje głębsze ja i stanąć „wobec Pana i misji w Kościele”. Stale być uważnym, bo salonowość może prowadzić do spływania, do chęci zabyśnięcia, realizacji ambicji, a nie realizacji celu. Głosić Ewangelię, prawdy chrześcijańskie bez wchodzenia w polemiki (w tamtym czasie z protestantami); prowadzić ludzi ku coraz głębszej znajomości samych siebie w świetle Pana, Stwórcy i Zbawiciela; spowiadać – z ukierunkowaniem stylu życia penitenta, będąc świadomymi, że to, co mówimy po cichu, będzie rozgłoszone publicznie. Przybliżając Pismo Święte, zapalając duchowo słuchaczy; nauczać dzieci pierwszych elementów wiary; pocieszać chorych i ubogich w szpitalach; rozmawiać z osobami, które są zdolne zrozumieć więcej; sprawować Eucharystię, dawać ćwiczenia duchowe i świadczyć posługę *di carita*, miłosierdzia.

Dziś w mentalności, także ludzi wierzących, zanika czasem wyrazistość Boga, konkretności rzeczywistości ludzkiej, istoty napięć i mechanizmów, które je powodują. Ignacy stawia jezuitów wobec tej wyrazistości. By widzieć, jak Trójca, wobec tragicznego losu ludzkości, decyduje się pomóc poprzez Wcielenie; poprzez konkretny obraz Maryi w Nazarecie, w prowincji Galileja. Ale by widzieć także, że istnieje i szatan, sztan-

dar Lucyfera (CD 136–138). To nie okrągły stół, ale zmaganie się sił. Zadaniem jest żyć zgodnie z powołaniem, w służbie sztandaru Chrystusa, w Kościele, pod sztandarem Krzyża, jako towarzysze Jezusa w konkretnej drodze historii, przy tym nie będąc przyłączonymi do abstrakcyjnego Jezusa, ale do Jezusa obecnego w Kościele w określonym momencie historycznym, konkretnych uwarunkowaniach, dobrych, jak i pełnych głupoty. W Kościele, który jest na etapie wcielania, zmagania się, Wieczernika, ale i Góry Ukrzyżowania.

To wszystko rzutuje na postawę jezuitów wobec swoich współbraci, których Kościół ogłosił świętymi. Ważne jest, czy pamięć o nich jest żywa w świadomości ludzi, czy jest ich kult, świadczący o żywotności dla dalszej drogi Kościoła. Czasem Towarzystwo podejmuje inicjatywę, by doprowadzić do wydobycia konkretnych postaci z przeszłości, by wprowadzić je na drogę beatyfikacji i kanonizacji, a przez to uczynić wzorcem dla życia chrześcijan określonego pokolenia. Częściej ta potrzeba jest zauważana przez pasterzy Kościoła, biskupów określonego terytorium, przez samego papieża. Czasem, jak było w wypadku Andrzeja Boboli, sam święty „upomina się o pamięć”, by na nowo zaistnieć w świadomości wiernych, pełniąc swą posługę w konkretnych wydarzeniach. Jest wtedy wydobywany jako dawny towarzysz drogi, wyrazisty w pełnieniu swej misji, w realizacji swojego powołania, a zarazem w drodze zakonu poprzez czas i wydarzenia historii, mający coś do powiedzenia nam, dzisiaj; skupiający wokół siebie ludzi, wspólnoty, środowiska; stający się punktem odniesienia i dla współczesnych. Kontekst d r o g i jest charakterystyczny. Nie stawia na piedestale świętego jakby dla niego samego. Doświadczyliśmy tego w ostatnich latach na przykładzie Piotra Fabera, pierwszego kapłana w gronie paryskich przyjaciół św. Ignacego Loyoli, o którym pamięć kielkowała w różnych krajach, przemawiając głębią jego wiary, a zarazem jego prostotą. Prawdziwą reformę Kościoła św. Piotr Faber widział w nawróceniu i świętości kapłanów. Bardzo troszczył się o wiarygodność przekazu Słowa Bożego. Bez rozdziwki między tym, co głosił, i codziennym życiem. Szczególnie z wielką delikatnością traktował niemieckich luteranów. Umiał ocenić i postawić poprawną diagnozę duchową w skomplikowanych sytuacjach, tak w wymiarze religijnym, jak i społeczno-politycznym. Zarówno ludzie prości, jak i wykształceni, garnęli się do niego pociągnięci przykładem jego świętego życia. Wydobył go papież Franciszek, niespodzianie dokonując jego kanonizacji, z pominięciem całej procedury kościelnej. Zapytany, dlaczego postać Piotra Fabera tak bardzo go inspiruje i które cechy jego osobowości najbardziej do niego przemawiają, papież Franciszek odpowiada: „Dialog ze wszystkimi ludźmi, nawet z najbardziej zagorzałymi przeciwnikami; prosta pobożność i swego rodzaju naiwność; dyspozycyjność nieznosząca zwłoki oraz fakt, że w sposób stanowczy potrafił podejmować ważne i radykalne decyzje, a jednocześnie potrafił być bardzo łagodny, łagodny...”.

O. ANDRZEJ KOPROWSKI SJ – polonista, znawca zagadnień biblijnych, tłumacz; był duszpasterzem akademickim na KUL, przełożonym prowincji wielkopolsko-mazowieckiej, wieloletnim dyrektorem programowym Radia Watykańskiego.



NOWE SANKTUARIUM W SZCZECINIE

Bernard Gonska SJ



16 MAJA KOŚCIÓŁ PARAFIALNY ŚW. ANDRZEJA BOBOLI przy ul. Pocztowej 22 w Szczecinie został podniesiony do rangi sanktuarium.

W procesji na początku Liturgii proboszcz parafii o. Grzegorz Nogal SJ wniósł do kościoła srebrne relikwiarium (w kształcie trumienki), natomiast relikwie św. Andrzeja Boboli zostały wniesione przez ojca prowincjała Tomasza Ortmana SJ, przełożonego Prowincji Wielkopolsko-Mazowieckiej Towarzystwa Jezusowego.

Relikwiarium wykonano w 1917 roku w związku z przełożeniem ciała świętego z trumny drewnianej do metalowo-szklanej. Relikwiarz ten był wystawiony w 1920 roku podczas nowenny o ocalenie Polski i Europy przed zalewem bolszewików.

Gdy abp Andrzej Dzięga podjął decyzję o podniesieniu kościoła w Szczecinie do rangi sanktuarium św. Andrzeja Boboli, ojciec prowincjał przekazał ten historyczny relikwiarz szczecińskim jezuitom.

PRZEKAZANIE RELIKWII

Przed rozpoczęciem Liturgii odpustowej abp Dzięga dokonał poświęcenia relikwiarza. Następnie przekazał relikwie na ręce ojca proboszcza Grzegorza Nogala SJ i zwrócił się do niego słowami: „– Jako pasterz Kościoła szczecińsko-kamieńskiego uroczysto przekazuję i na stałe zainstaluję cząstkę relikwii św. Andrzeja Boboli, aby pozostały na wieki w tej świątyni. Niech ich stała obecność stanie się pieczęcią podkreślającą jedność Kościoła św. w Polsce oraz jedność w modlitwie o ład moralny i gospodarczy w naszej ukochanej ojczyźnie”.

Następnie ks. kan. dr Julian Głowacki, wicekanclerz Kurii Metropolitalnej Szczecińsko-Kamieńskiej, odczytał dekret

o ustanowieniu sanktuarium św. Andrzeja Boboli w Szczecinie. Po odczytaniu dekretu ksiądz arcybiskup przekazał go ojcu proboszczowi i mianował go kustoszem nowego sanktuarium.

PATRON NA TRUDNE CZASY

Po rozpoczęciu Mszy św. i powitaniu zebranych przez ojca kustosa głos zabrał minister Paweł Mucha, zastępca szefa Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy, który odczytał list skierowany do uczestników uroczystości. Wyrzucił w nim radość z tego, „że w tym szczególnie trudnym dla nas wszystkich czasie epidemii Kościół lokalny w stolicy Pomorza Zachodniego otrzymuje tak potrzebne duchowe wsparcie w osobie św. Andrzeja Boboli”.

W homilii abp Dzięga przypomniał zebranych ważniejsze fakty z życia świętego oraz jego szczególne wstawiennictwo u Boga w trudnych dziejach naszej ojczyzny. Zachęcił wiernych, by docenili orędownictwo św. Andrzeja i poprosił jezuitów, aby nie szczędzili sił w dalszym szerzeniu kultu patrona Polski oraz dążyli do zapewnienia opieki duszpasterskiej wszystkim, którzy będą przybywać do sanktuarium. Po zakończeniu Mszy św. odbyło się nabożeństwo ku czci św. Andrzeja Boboli, odśpiewano także uroczyste dziękczynne *Te Deum* za ustanowienie sanktuarium.

O. BERNARD GONSKA SJ – jezuita ze Szczecina, asystent kościelny Oddziału Zachodniopomorskiego SKKAB-u, duszpasterz w parafii i katecheta, był proboszczem w Sanktuarium św. Andrzeja Boboli w Warszawie oraz w parafii pw. św. Andrzeja Boboli w Bydgoszczy.

POLITYKA – BŁOGOSŁAWIEŃSTWO CZY POKUSA?

Wacław Oszajca SJ

SŁOWO „POLITYKA” BRZMI W NASZYM KRAJU RACZEJ groźnie i kojarzone jest raczej z ciemną stroną ludzkiego myślenia i działania. Skłonni jesteśmy raczej unikać wszystkiego, co jest związane z polityką, czy też jest tak nazwane, niż się w to angażować. Zresztą wmówiono nam, że polityka i wszystko co polityczne jest zastrzeżone jedynie dla niektórych, wybranych i wyznaczonych przez tych, którzy już dzisiaj sprawują władzę. Mówi się również, że Kościół nie może i nie powinien się mieszać do polityki. Tymczasem Sobór Watykański II naucza: „Ci, którzy posiadają talent do działalności politycznej, lub mogą się do niej nadawać, a jest to sztuka trudna i zarazem wielce szlachetna, niech się do niej sposobią i oddają się jej, nie myśląc o własnej wygodzie lub uzyskanym stanowisku. Niech występują przeciw niesprawiedliwości i uciskowi ze strony jednostki lub przeciw samowładztwu i nietolerancji partii politycznej, działając roztropnie i nienagannie pod względem moralnym, a niech poświęcają się dobru wspólnemu w duchu szczerości i słuszności, owszem, z miłością i odwagą polityczną” (KDK 75). Dalej tenże Sobór naucza, że „Kościół ma charakter religijny. Ale z tejże właśnie religijnej misji wypływa zadanie, światło i siły, które służyc mogą założeniu i utwierdzeniu wspólnoty ludzkiej według prawa Bożego” (KDK 42).

Czasy świętego Andrzeja Boboli to czasy bardzo polityczne. Wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej i sprawy krajów ościennych wiązały się, tworząc bardzo tragiczny splot. Zdobyć koronę, władzę i poszerzyć swoje terytorium, przesunąć granice, osłabić sąsiada i podporządkować jego dobro, jego interes własny – to wszystko powodowało, że nasze ziemie stały się miejscem starcia Polaków, Litwinów, Rosjan, Szwedów, Rusinów, Niemców i wielu innych nacji. W rękach polityków ludzie stawali się jednostkami taktycznymi w walce lub monetą przetargową w rokowaniach. Oni też, na co dzień zwykli ludzie, w rękach polityków stawali się katami i ofiarami, zbrodniarzami lub świętymi.

W dziwny sposób również Andrzej Bobola jawi się jako człowiek zaangażowany w politykę. I to zarówno za życia, jak i po śmierci. Za życia przyszło mu pracować i budować w czasie, gdy burzono, rozrzucono, wycinano zarówno drzewa, jak i ludzi. Właśnie wtedy ojciec Andrzej w tę rolę poruszoną przez wojnę, w ludzkie umysły zasiewał ze spokojem Słowo Boże. Czynił to samo, co dzisiaj radzi nam Sobór, jak już słyszeliśmy. Siał Boże Słowo, głosząc je podczas misji, ale też czynem spieszył na pomoc chorym na zarazę, która zwykle towarzyszyła walkom wojennym. To jego spokojne pełnienie swojej kapłańskiej powinności dociera do nas dzisiaj jako głośny protest, głośne dopominanie się o sprawiedliwą politykę. Jest to również dla nas, chrześcijan, napomnieniem i wezwaniem do rachunku w sumieniu z grzechu zaniedbania troski o sprawiedliwą politykę i z grzechu braku odpowiedzialności za tych, którym władze powierzamy, a także grzechu uchylania się od uprawiania polityki, z grzechu nieangażowania się w działalność polityczną. Przywołajmy jeszcze raz Sobór: „Potępia się (...) wszelkie formy

ustroju politycznego, panującego w niektórych krajach, które krępują swobodę obywatelską lub religijną, mnożą ofiary namiętności i przestępstw politycznych, a sprawę rządu przedstawiają ze służby dobru wspólnemu na dogadanie jakiegoś stronnictwu lub na korzyść władzy państwowej” (KDK 73). Owocem tej namiętności rozszalałej za sprawą polityków było męczeństwo wielu ludzi z różnych religii i narodowości. Święty Andrzej Bobola jest ich wspólnym imieniem, ich słowem do nas.

Mając zatem świadomość niebezpieczeństw powodowanych przez polityków, wykorzystujących swoje powołanie w sposób nieuczciwy, nie możemy jako chrześcijanie pozostać jedynie krytykami ich działalności. Odwrotnie, nauczeni doświadczeniem – jak choćby czasów świętego Andrzeja – mamy obowiązek uprawiać politykę. Przez nią głosić Dobrą Nowinę całemu stworzeniu i dzięki niej zło dobrem zwyciężać.

Sprawowanie władzy widziane jest przez chrześcijan jako wezwanie do służby i to służby w miłości. Od takiej służby nie wolno się nam uchylać również, a może przede wszystkim wtedy, gdy polityka jawi się jako zło. Właśnie wtedy trzeba zacząć uprawiać politykę, zarówno występując przeciwko niesprawiedliwości, jak uczy Sobór, jak również tworząc warunki do uprawiania sprawiedliwej polityki.

Nie możemy też wyzbyć się odpowiedzialności za decyzje polityczne tych, którym daliśmy władzę, wybierając ich – wszystko jedno, czy do rządu w państwie, czy zarządu spółdzielni. Winy rządzących są również winą ich wyborców, jeżeli ci ostatni chociażby tylko przez przemilczenie, nawet ze strachu, godzą się z nadużywaniem władzy lub jej wadliwym sprawowaniem czy jakimkolwiek innym złem.

Chcąc zatem w pełni wykonać polecenie misyjne Jezusa Chrystusa, nie możemy wyłączać polityki ze sfery naszych zainteresowań. Może to właśnie dlatego z osobą Andrzeja Boboli wiązano prorocstwo o odzyskaniu przez nasz kraj wolności. Wolność tę przecież unicestwiły decyzje polityczne naszych sąsiadów. Samo pojawienie się Andrzeja Boboli, odnalezienie jego relikwii też przypada na czas wielkiego poruszenia politycznego. Podobnie jest z jego powrotem do Polski w 1938 roku. Przecież ten powrót miał miejsce wtedy, gdy już mocno szykowano się do następnego przesilenia politycznego, do wojny światowej.

Święty Andrzej zapewne wracał również po to, aby umocnić tych wszystkich sprawiedliwych, którzy będą mieli odwagę ocalać to, co inni zechcą uśmiercać. Tak jest również dzisiaj.

Tekst pochodzi z książki Ks. Wacława Oszajcy SJ *Święty Andrzej Bobola prowadzi do jedności*, wydanej w 1998 roku przez Wydawnictwo Apostolicum. Kolejne rozważania będziemy sukcesywnie przedstawiać na łamach biuletynu.

O. WACŁAW OSZAJCA SJ – duszpasterz, teolog, publicysta, poeta. Autor wielu książek i publikacji, wierszy oraz tłumaczeń, duszpasterz osób chorych na stwardnienie rozsiane.

ŚWIADECTWO KSIĘDZA PRAŁATA JÓZEFA NIŻNIKA, KUSTOSZA SANKTUARIUM ŚWIĘTEGO ANDRZEJA BOBOLI W STRACHOCINIE

BĘDĘ GŁÓWNYM PATRONEM?

DNIA 16 MAJA PRZEŻYWALIŚMY LITURGICZNE ŚWIĘTO św. Andrzeja Boboli, Patrona Polski. Z tej racji wielu Polaków ponownie sięgnęło do opracowań, aby dowiedzieć się czegoś więcej o tym Świętym. Postanowiłem i ja, świadek spotkań ze św. Andrzejem, podzielić się wiedzą, którą posiadam, a nie była dotąd opublikowana. Tę wiedzę zdobyłem dzięki św. Andrzejowi, który wyjaśnił mi niektóre sprawy dotyczące jego życiorysu, a także roli i misji, jaką ma spełniać w naszym narodzie.

Jedną z tych spraw, którą chciałbym się podzielić, dotyczy patronatu św. Andrzeja Boboli nad Ojczyznę. Sprawa bardzo delikatna i wrażliwa. Jak rozumieć jego objawienie się w Wilnie w roku 1819? Czy główny, znaczy najważniejszy? A jeśli tak, to co z tymi, którzy już są głównymi: Maryją Królową Polski, św. Wojciechem czy św. Stanisławem? Czy ktoś komuś ma tu ustąpić miejsca? A może w tej sprawie chodzi o inne rozumienie?

Boję się, byśmy – idąc tym tokiem myślenia – nie usłyszeli tego, co faryzeusze, którzy przyszli do Jezusa i pytali, czyją żoną po śmierci będzie kobieta, która miała siedmiu mężów na ziemi. Jezus im rzekł: jesteście w błędzie, że nie rozumiecie Pisma ani mocy Bożej. A co nam powiedziała Jezus w sytuacji, gdy główny patronat nad Ojczyznę chcemy sprowadzać do tego, który z patronów ważniejszy?

Czcieli św. Andrzeja sprawa patronatu nurtuje, bo wiedzą, że Święty związał go z pomyślnością Ojczyzny. Stąd, ilekroć Polskę nawiedzają bolesne wydarzenia, sprawa patronatu wraca jak bumerang. Podobnie jest i tym razem, gdy nawiedza nas epidemia. Być może dlatego, jedna z redakcji zwróciła się do mnie, abym napisał artykuł o św. Andrzejcu w nawiązaniu do epidemii.

JUŻ NIM JESTEM

Po tej prośbie, jak zawsze, gdy sprawa dotyczy św. Andrzeja, na modlitwie zwróciłem się z prośbą do niego o pomoc. Tym razem także. Prosiłem, aby natchnął mnie, o czym mam napisać. I podsunął mi właśnie temat o „głównym patronie Ojczyzny”. Wpierw wyjaśnił, że on nim jest, bo taką godnością obdarzył go Bóg i zlecił mu opiekę nad polskim narodem. Pytam dalej: a kim są ci, których czcimy jako głównych? Wyjaśnił, że oni też są główni, ale ich wybrali ludzie, a ja jestem patronem Ojczyzny z woli Boga. Nie wiedziałem, jak o tej prawdzie napisać. Byłem w rozterce. Ale Święty znowu przyszedł z pomocą. Otrzymałem w tym czasie książkę z objawieniami Fulli Horak, mistyczki z XX wieku. Czytając, natrafiłem na opis jej spotkania ze św. Andrzejem 3 maja 1938 roku. Dech mi wręcz zaparło po przeczytaniu tych słów – mistyczka pyta: „Czy będziesz Patronem Polski?”, on odpowiada: „Już nim jestem”. Spotkanie z mistyczką miało miejsce kilka tygodni po kanonizacji



św. Andrzeja. Wtedy sprawa patronatu była bardzo głośna, choć nie było jeszcze żadnych nominacji ani potwierdzeń ze strony Kościoła, dlatego mistyczka dopytuje, a Święty sam potwierdza. Lektura tych objawień jeszcze bardziej utwierdziła mnie w tym, co św. Andrzej mi przekazał, ale zrodziło się we mnie kolejne pytanie: dlaczego w obecnym okresie epidemii dopomina się, aby o jego patronacie napisać Polakom?

PRZYPOMINA O SOBIE ZAWSZE, GDY POTRZEBUJEMY POMOCY

16 maja 1987 roku, podczas objawienia w Strachocinie, powiedział do mnie: zaczynajcie mnie czcić. Dzięki temu powstało w Strachocinie nowe miejsce kultu św. Andrzeja, a teraz jest to jego Sanktuarium. Z czasem zrozumiałem, że objawiał się po swojej śmierci, gdy Polska znajdowała się w niebezpieczeństwie. Tych ważnych objawień było trzy. W Pińsku w 1702 roku, w Wilnie w 1819 roku i w Strachocinie w 1987 roku. Każde z nich dotyczyło Ojczyzny. Pińsk uratował przed protestanckimi Szwedami. W Wilnie, gdy Polska była pod zaborami, św. Andrzej powiedział, że Ojczyzna odzyska niepodległość. W Strachocinie zaoferował zaś pomoc na obecne czasy, ale wyznaczył za tę pomoc swoją cenę, wyrażoną poleceniem: „Zaczynajcie mnie czcić...”. Dał też znać o sobie podczas cudu nad Wisłą w roku 1920. Za udział w tym zwycięstwie został kanonizowany w roku 1938, a trumna z jego relikwiami znajduje się w Sanktuarium narodowym w Warszawie.

Odwolania do wydarzeń historycznych naszego narodu powinny nam uświadomić, że św. Andrzej z woli Boga

spełnia ważną rolę wobec Ojczyzny. Spełniał kiedyś, ma spełniać i dzisiaj. W takim duchu odbieram jego objawienie w Strachocinie pod koniec XX wieku. Jako naród byliśmy wówczas zachwyceni wyzwoleniem z niewoli radzieckiej i pełni nadziei z otwarcia na Zachód, ale nie dostrzegaliśmy jeszcze nowych zagrożeń dla narodu, a św. Andrzej właśnie wtedy się objawia i mówi: „Zaczynajcie mnie czcić...”. Objawienie to zostało wówczas odebrane trochę w kategoriach sensacji i nie poruszyło Polaków. Ale św. Andrzej stwarza narodowi kolejną okazję i przypomina o sobie, gdy zostaje ustanowiony Patronem Polski w roku 2002. Jednak i tym razem nawet papieska nominacja przeszła bez większego rozgłosu. Ci, którzy kochali św. Andrzeja, skoncentrowali się wtedy na tym (i do dzisiaj często o tym debatują), że nie został zaliczony do grona głównych patronów, obok Matki Bożej Królowej Polski, św. Wojciecha i św. Stanisława, a jednocześnie nie wykorzystali tej nominacji, aby owocował duchowy dar Papieża Polaka dla rodaków na nowe tysiąclecie wiary. I to – niestety – w wielu sercach pokutuje do dziś.

A jednak św. Andrzej jest dla nas niezwykle ważny, czy to się komuś podoba, czy nie, czy to akceptuje, czy odrzuca. To sam Bóg czuwa, abyśmy o św. Andrzejcu nie zapominali. A od czasu do czasu św. Andrzej wkracza wprost w nasze dzieje i dokonuje rzeczy niezwykłych. Tak było również w roku 2015, gdy jego czciciele zorganizowali pielgrzymkę do Strachociny, aby się modlić o pomyślność w wyborach. Byli najpierw w maju, potem w październiku. I to, o co prosili Boga – za jego przyczyną – dokonało się. Ale również i te zwycięstwa nie wpłynęły na zmianę myślenia Polaków o jego patronowaniu nad Ojczyznę. Nie zmieniło się to także po pielgrzymkach i zwycięstwach w roku 2019. Znowu wygrała faworyzowana przez nich opcja polityczna, ale nie podziękowali św. Andrzejcu. Nawet nie wspomnieli o nim po wyborach, ogłaszając go z chwały, która mu się należała. I to jest dramat zwycięzców, który nie rokuje niczego dobrego na przyszłość. Wydarzenia, które przywołuję, pozornie mogą sugerować, że uprawiam tu jakąś politykę, ale jestem daleko od polityki. Mówię tylko z troską o moim narodzie oraz o Ojczyźnie – mojej Matce. Zwracam zaś uwagę na wspomniane wydarzenia, bo jestem głęboko przekonany, że wpisują się one także w jakiś Boży plan wobec Polski. Może chodzi nie tylko o perspektywę zachowania wiary u nas w Polsce, ale także, aby Polska nadal była „przedmurzem chrześcijaństwa”.

DLACZEGO TERAZ O JEGO PATRONACIE?

Jakże wymowne są słowa, które przekazał św. Andrzej podczas objawienia się Fulli Horak. Są bardzo ważne także w kontekście obecnej epidemii, która nawiedza świat i Polskę. Św. Andrzej powiedział wówczas mistyczce: „Będę wam pomagał... Ludzie nie dość gorąco i nie tak jak trzeba zwracają się do mnie. Mogę być bardzo pomocny w zażegnaniu wielkich katastrof. Mogę nieść ulgę w cierpieniu... Powiedz ludziom, że grożą im straszne rzeczy za to, że zaniedbują sprawy wewnętrznego życia. Możesz mnie zawsze prosić, a wysłucham cię”. Po przeczytaniu tych słów odnalazłem odpowiedź na pytanie, dlaczego św. Andrzej właśnie teraz natchnął mnie, abym napisał o jego głównym patro-

nacie nad Ojczyznę. „Mogę być bardzo pomocny w zażegnaniu wielkich katastrof. Mogę nieść ulgę w cierpieniu” – odczytuję te słowa jako dalsze wołanie: „Zaczynajcie mnie czcić”. Święty Andrzej po raz kolejny prosi swoich ziomków: „Zwróćcie się w modlitwie do mnie, a ja wam pomogę”. Ale rodzi się pytanie, czy w narodzie polskim jest jeszcze taka prosta wiara, aby bez zbytecznego „filozofowania” otworzyć się po prostu na głos Boga?

Czy są w Polsce ludzie, którzy wezmą sobie prośbę Świętego do serca? Czy także i w tym przesłaniu uchwycimy się czegoś, co upodobni nas do wspomnianych wcześniej faryzeuszów?

Na koniec podzielę się jeszcze tym, czego osobiście doświadczyłem podczas spotkania ze św. Andrzejem z 30 kwietnia na 1 maja 2020 roku. Przyszedł po wielu latach, aby dopowiedzieć do tego, co napisałem o jego głównym patronacie. Oto jego słowa: „Żaden święty dla narodu polskiego nie może być ważniejszy nad Maryję. Ona z woli Boga jest Królową narodu. Zajmuje najważniejsze miejsce w tym narodzie. Ona jest najważniejsza i nikt od Niej ważniejszy być nie może. Ten tytuł zapewnia Jej w narodzie cześć i szacunek, miłość i wdzięczność. Ona nie jest Patronką narodu, ale Królową i Panią. Nikt nie ma takiej godności jak Maryja”. I dodał: „Ja jestem tylko Jej sługą... jestem Jej sługą najważniejszym, mogę u Niej wiele wyprosić tylko dlatego, że jestem dla Niej ważnym”.

Czyż te słowa nie budzą zdumienia? Maryja nie jest Patronką narodu, ale Królową i Panią. „Ja jestem tylko Jej sługą”. Można dodać, sługą pokornym. Zresztą przez całe życie takim był, dlatego to nim posłużyła się Maryja, aby mogła być ogłoszona Królową Korony Polskiej. Patronat św. Andrzeja nikomu więc nie zagraża, ani też nie pomniejsza roli tych, którzy już od dawna są patronami Ojczyzny. Jeśli teraz, w czasie epidemii, przypomina o sobie, to chyba dlatego, że istnieje realne zagrożenie dla życia tych, za których on przed Bogiem odpowiada, i mówi, że jest gotów do pomocy. Może więc to jest ten czas, w którym należy wziąć przykład z warszawiaków z roku 1920, którzy uwierzyli, że z pomocą św. Andrzeja mogą pokonać potężnych bolszewików. I pokonali.

Dziś w Polsce jest wiele zagrożeń, nie tylko z powodu epidemii. Są przede wszystkim zagrożenia dla wiary i moralności chrześcijańskiej, zagrożenia życia, małżeństwa i rodziny. Są też zagrożenia dla duchowej tożsamości naszego narodu. A św. Andrzej ponownie zwraca uwagę na swój patronat, jakby jeszcze raz prosił: „Przyjmijcie, Polacy, moją służbę z wiarą”.

Oby te słowa pomogły uwierzyć nam wszystkim – synom i córkom naszego narodu, że Polska ma wielki dar od Boga, który pozostaje ciągle praktycznie niewykorzystany, a jest nim św. Andrzej Bobola. Uwierzcie w to, a sami się przekonacie, że warto z nim iść przez życie.

Świadectwo niniejsze przekazuję na ręce JE Księdza Arcybiskupa Andrzeja Dzięgi, metropolity szczecińsko-kamieńskiego, do swobodnego wykorzystania, w związku z nadchodzącym ogłoszeniem (16 maja br.) świątyni pw. Św. Andrzeja Boboli w Szczecinie Sanktuarium tegoż Świętego.

9 maja 2020

DOBRY PASTERZ

Małgorzata Mularczyk

Jakie to dziwne
że wielkie domy
wielkie góry
olbrzymie gwiazdy
nawet ich mgławice
mieszczą się
w małych oczach
człowieka.

(M. Paciuszkiewicz, *Jakie to dziwne*)



OJCIEC MIROŚLAW DO KOŃCA ŻYCIA POTRAFIŁ ZADZIWIĆ, zachwycać się światem i ludźmi, choć po pięćdziesięciu latach posługiwania w konfesjonale znał ludzi na wylot. Gdy ktoś mu współczuł, że zapewne te spotkania z ciemną stroną ludzkiej natury obciążają go, odpowiadał, że wprost przeciwnie: „...jest to przeżycie bardzo krzepiące. Jeśli zdarzyło się kiedykolwiek w latach mojego kapłaństwa, że tydzień albo dwa nie spowiadałem, czegoś było mi brak. W chwilach refleksji rozumiałem, że brak było szczególnego doświadczenia spowiedników, które można wyrazić taki stwierdzeniem: „Jak przedziwnie Pan Bóg działa w ludziach!”

W laicyzującym się społeczeństwie dostrzegał potrzebę niesienia Ewangelii tym, którzy jej nie poznali, proponował „połączenie katechezy katechumenalnej z odpowiednimi obrzędami, jak w starożytnym katechumenacie”. Z mocą i pewnością wpajał katechumenom, że „Bóg jest Miłością”. Wiele lat później, w 2005 roku powstała papieska encyklika opatrzona takim tytułem.

Z odwagą poszedł też za proroczym głosem Jana Pawła II, wyrażonym w encyklice *Familiaris consortio* i rozeznaniem kolejnego, trzeciego powołania (po kapłaństwie i życiu zakonnym) do pasterzowania osobom żyjącym w związkach niesakramentalnych. Z charakterystycznym spokojem i łagodnością wchodził w dyskurs, domagając się miejsca w Kościele dla tych, których oficjalny kościół często odtrącał. I pozostał wierny swemu rozeznaniu do końca, pomimo niechęci i odrzucenia ze strony wielu środowisk. Refleksje z tych lat i propozycje rekolekcji zawarł w kilku książkach.

Z wykształcenia był polonistą i teologiem. Na polonistyce wybrał specjalizację literaturoznawstwo. „Doszedłem wszakże do wniosku, że bardziej przydatna dla kapłana będzie literatura” – pisał w *Moich przygodach z literaturą piękną*. Już wtedy, jako młody człowiek, dostrzegał „duchową bliskość” teologii i literatury. Ten wybór zaowocował głęboką znajomością świata i rozumieniem mechanizmów ludzkich zachowań, bogatym słownictwem, lekkością i jasnością stylu, przynosząc korzyści we wszystkich wymiarach działalności: podczas głoszenia rekolekcji i homilii, podczas spowiedzi i kierownictwa duchowego, podczas wykładów o literaturze w kościele św. Anny w Warszawie, pracy polonisty w seminarium, wreszcie – w twórczości *stricto* literackiej. Piękno i głębia homilii Ojca Mirosława oraz radość obcowania z jego utworami zawdzięczamy bogatej, zintegrowanej osobowości, którą tworzyła bliskość z Bogiem, żywe zaintereso-

wanie drugim człowiekiem, trudne doświadczenia życiowe, wysiłek nieustannego kształcenia się, gruntowna znajomość literatury, umiłowanie natury. Ulubionymi autorami Ojca Mirosława byli: Maria Dąbrowska, Antoni Gołubiew, Hanna Malewska, Zofia Starowieyska-Morstinowa, Małgorzata Musierowicz, Antoine de Saint-Exupéry, Bruce Marshall, George Bernanos, G.K. Chesterton, Sigrid Undset, Lew Tołstoj, Alebert Camus, św. Augustyn, św. Teresa Wielka, św. Jan od Krzyża, Tomasz à Kempis, Joseph Ratzinger.

Ojciec Mirosław Paciuszkiewicz SJ jest autorem 18 książek, współautorem kolejnych trzech, kilku broszur oraz ponad 200 artykułów w czasopiśmie „Przegląd Powszechny”, „Pastores”, „Życie Duchowe” i innych. Co trzecia pozycja książkowa Ojca Mirosława dotyczy postaci św. Andrzeja Boboli, podobnie jak i duszpasterstwa osób żyjących w związkach niesakramentalnych. W polu zainteresowań Autora znalazły się ponadto tematy związane z pracą duszpasterską, katechumenatem osób dorosłych, refleksja nad problemami egzystencjalnymi oraz nad literaturą piękną, podziw dla Stwórcy i Jego stworzenia. Dwie książki zawierają utwory poetyckie, pisane w różnych okresach życia.

* * *

Moim ulubionym wierszem Ojca Mirosława jest *Tryptyk o późnych powołaniach*, o którym autor tak pisze: „Niech pomaga ludziom w myśleniu o starości, a tym bardziej w prze-

żywaniu starości. Żeby nie było powiedzenia, jakie niejednokrotnie słyszymy, że starość się Panu Bogu nie udała. Każdy okres życia może być udany albo nieudany. W dużej mierze w zależności od tego, czy i jak współpracujemy z Panem Bogiem”. (Tekst wiersza publikowaliśmy w zeszlorocznym biuletynie (nr 4/2020) poświęconym papieżowi Franciszkowi). W sercu zaś noszę kilka obrazów Ojca Mirosława. Zdjęcie rezolutnego, uważnego chłopca w krótkich spodniach, młodego zakonnika w sutannie, uśmiechniętego dobrocią kapłana na uroczystości rodzinnej, promieniejącego spokojem jezuitę na tle Sanktuarium. Myślę słowami, które usłyszałam od Niego, ale też tymi, które zaczerpnęłam z Jego tekstów i wywiadów. Mój ojciec duchowy, przewodnik po świecie ducha i po świecie ludzkich relacji. Budował je jak mało kto, świadomie, konsekwentnie, wiernie. Sam o tym mówił słowami wiersza *Z racji spotkania po długiej przerwie*: „Niekórzy stają się bliscy i są bliscy/ Jak siostra kochana jak rodzony brat (...). // Ci nieliczni wybrani z miliardów rzeszy / Są darem szczególnym który dał nam Pan / Mają mnie ciągle sobą ubogacać / Przypominać przy tym że nie jestem sam”.

Ojciec Mirosław wciąż na nowo odczytywał znaki swego powołania i posługi, będąc wzorem zawierzenia i współpracy z Bogiem w kształtowaniu ziemskiej rzeczywistości oraz budowaniu wspólnoty Kościoła. Dał przykład, jak piękne i owocne może być życie człowieka podążającego śladami Jezusa, oddanego i przejętego losem innych, żyjącego pełnią. Jego serce, mądrość i Chrystusowy duch stworzyły fundamenty pod funkcjonowanie Sanktuarium Narodowego św. Andrzeja Boboli – jako miejsca otwartego na ludzi poszukujących Boga i pragnących pogłębiać tę więź we wspólnocie ludzkiej.

Żył pełną piersią, niemal do końca wciąż w podróży, w drodze do założonych przez siebie wspólnot – akademickiej w Lublinie, mazowieckich wspólnot Przymierza Rodzin, grup osób żyjących w związkach niesakramentalnych. Niemal codziennie kilka godzin w konfesjonale i spotkania z penitentami w rozmównicach. Niestrudzony, uważny, cierpliwy. To była Jego droga do Jezusa, Mistrza i Pana, o którym pisał w wierszu *Obecność*: „Obecny w słowie / w sakramentach / w kapłanie sprawującym liturgię / w zgromadzeniu liturgicznym / i gdy ludzie spotykają się / w Jego Imię. // Szczególnie obecny / w znakach chleba i wina. // W pięknych katedrach / w ubogich kościołach / i kaplicach / w każdej Hostii / i w każdej okruszynie”.

Myliłby się ten, kto sądzi, że Ojciec Mirosław przeszedł przez życie lekko, bez bólu i cierpienia. Towarzyszące mu od młodości choroby nie przekreślały jego zainteresowań, jego pasji życia. Działał pomimo tych niedogodności aż do ostatnich dni, nie dając po sobie poznać, z jakim trudem mu to przychodzi. O swych doświadczeniach pisał w ostatniej książce *Oswajanie śmierci*, która powstała, by pomagać ludziom w przygotowaniu się do przejścia przez bramę śmierci. Dla nas, wiernych, ogromną wartością jest mocne przekonanie o istnieniu życia wiecznego i o miłosiernej miłości dobrego Boga do ludzi. W tym duchu utrzymana jest *Prośba o zmiłowanie*: „Nie daj Boże żeby kogoś z naszych bliskich / albo nawet kogokolwiek z ludzi / miało zabraknąć w niebie (...). // Czyżby Twoja Męka, Panie / miała być daremna? // Czy nie wystarczy piekło na Ziemi? (...) // Czyżby nie miała się spełnić obietnica / że otrzesz wszelką łzę?”.

Nie umiem myśleć o Ojcu Mirosławie bez wdzięczności i podziwu. Nie umiem mówić o nim, jak o kimś, kto był w moim życiu i umarł. Mój ojciec duchowy żyje we mnie, towarzyszy moim sprawom, jest w moim myśleniu. Jest dla mnie punktem odniesienia i niedoścignionym wzorem chrześcijanina.

Wielu z nas, z Kręgu Przyjaciół Ojca Mirosława codziennie, poniekąd już odruchowo powierza mu swoje sprawy, a ósmego dnia kolejnego miesiąca, w dniu, w którym przypada jego urodziny, przywołujemy modlitwę do św. Andrzeja Boboli, którego był wielkim czcicielem:

Święty Andrzeju Bobolo – nasz wielki Patronie i Patronie Ojca Mirosława Paciuszkiewicza, Twojego wielkiego czciciela, pierwszego kustosza Narodowego Sanktuarium Twojego imienia, za Twoim pośrednictwem modlimy się do dobrego Boga o wszelkie potrzebne łaski dla rodziny Ojca Mirosława, dla Jego przyjaciół, znajomych, penitentów i modlimy się, by potrafili innym przekazywać dobro, którym obdarzał ich za życia, budując wspólnotę miłości. Za Twoim pośrednictwem modlimy się, aby kapłani i wierni wychodzili także naprzeciw potrzebom duchowym osób żyjących na obrzeżach Kościoła oraz poszukujących Boga, aby otaczali je szczególną troską i życzliwością, na wzór Dobrego Pasterza. Prosimy Cię, wyjednaj u Boga dalsze istnienie, dynamiczny rozwój oraz obfite owoce zainicjowanych i prowadzonych przez Ojca Mirosława wspólnot i dzieł. Amen.

Nie sposób w krótkim artykule przedstawić spuścizny Ojca Paciuszkiewicza. Zainteresowanych postacią pierwszego kustosza Sanktuarium odsyłamy do książki *Ojciec Mirosław Paciuszkiewicz we wspomnieniach*, która jest dostępna w kancelarii parafialnej oraz do strony internetowej www.miroslawpaciuzkiewicz.pl, która powstała w piątą rocznicę śmierci Ojca Mirosława z wdzięczności, szacunku i podziwu, by ocalić od zapomnienia Jego postać oraz udostępnić Jego dorobek tym, którzy poszukują Boga i pragną podążać Bożą drogą. Stanowi miejsce spotkania wspólnoty osób, w życiu których o. Mirosław Paciuszkiewicz zaistniał osobiście przez głoszone Słowo czy przez teksty literackie i publicystyczne.

Przywołajmy na koniec w całości wiersz *Już nie pójde* powstały z tęsknoty za ukochanymi górami i życiem, które z racji wieku musiało ulec zmianie: „Już nie pójde na Orlą Perć / ani w Tatry Zachodnie / ani na sudeckie / czy bieszczadzkie szczyty. // Ale ja byłem na tych szczytach / i noszę w sobie ich piękno / i zachwyty i tajemnicę”.

Doświadczenie pokonywania trudności i zdobywania życiowych szczytów nie odeszło w niepamięć, zostało zintegrowane i stało się częścią tożsamości poety. A my, w Kręgu Przyjaciół pragniemy, by mądre, uważne, pracowite, wypełnione miłością i dobrem życie Ojca Mirosława zachowało się w ludzkiej pamięci. Marzy się nam, by powstała historyczno-literacka biografia Ojca Mirosława, która pomoże zobaczyć i zrozumieć wybory i zmagania tego wyjątkowego Kapłana, przedstawione na tle czasów, w których żył i działał.

MAŁGORZATA MULARCZYK – koordynatorka Kręgu Przyjaciół Ojca Mirosława, redaktorka portalu Święty Andrzeju Bobola. Patron Polski, Patron Jedności (<https://swietyandrzejbobola.pl/>), od 2018 roku redaktorka naczelna „Biuletynu Sanktuarium św. Andrzeja Boboli”.

CUD NAD WISŁĄ

Mija sto lat od Cudu nad Wisłą, pamiętnego zwycięstwa Polaków nad bolszewickim najeźdźcą, który zagrażał porządkowi całej Europy. Z tej okazji w prasie, mediach, Internecie, na księgarskich półkach obserwujemy wysyp opracowań historycznych, świadectw i rekonstrukcji. Czytelników zainteresowanych szczegółowym opisem przebiegu „18. najważniejszej bitwy w dziejach świata” warto odesłać do specjalnie przygotowanego serwisu internetowego 1920. *Bitwa Warszawska* (<https://bitwa1920.gov.pl/pl/>). Na łamach „Pisma o życiu chrześcijańskim” warto zaś wspomnieć o kilku faktach dających obraz tamtych dni jako czasu szczególnego uniesienia religijnego Polaków. „Pierwsze wrażenie, jakie odniosłem, przejeżdżając przez [Warszawę] w drodze z dworca do poselstwa angielskiego, było to zdziwienie wywołane normalnym, codziennym nastrojem ludności (. . .). Jedynym zjawiskiem niezwykłym były liczne procesje religijne” – zanotował we wspomnieniach opisujących drugą połowę lipca 1920 roku w Polsce Edgar Vincent D’Abernon.

Kościół odegrał bardzo istotną rolę w wydarzeniach lipca i sierpnia 1920 roku. Duchowieństwo podtrzymywało morale społeczeństwa, odprawiano msze w intencji odparcia ataku bolszewików, z ambon odczytywane były rządowe odezwy. Kapłani zostawali kapelanami oddziałów, nosili posługę duchową rannym i umierającym. Do rangi symbolu urosła postać ks. Ignacego Skorupki, który poległ od bolszewickiej kuli pod Ossowem. Działania polskiego episkopatu były z kolei jednym z elementów kampanii informowania o sytuacji walczącej Polski. 7 lipca 1920 roku polscy duchowni wystosowali list do biskupów na świecie, w którym opisywali zagrożenie, jakie bolszewizm niesie dla Europy i świata.

Istotną była też postawa Stolicy Apostolskiej – w przełomowych dniach sierpnia 1920 roku członkowie korpusu dyplomatycznego opuścili Warszawę. W mieście zostali przedstawiciele Włoch, Międzynarodowej Misji do Polski oraz nuncjusz apostolski, późniejszy papież Pius XI, Achille Ratti, który uznał za stosowne pozostać w mieście, które opierało się ateistycznej nawale. Odpowiedzią Kościoła powszechnego na śmiertelne dla młodego państwa zagrożenie była modlitwa podtrzymująca ducha narodu.

Szczególne znaczenie miała Wielka Nowenna przed uroczystością Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, rozpoczęta 7 sierpnia na Jasnej Górze i obejmująca cały naród. W stolicy ks. kard. Aleksander Kakowski zarządził zaś nabożeństwa błagalne za wstawiennictwem bł. Andrzeja Boboli i bł. Władysława z Gielniowa, wyznaczając świątynie i czas, w którym miały odbywać się nowenny, adoracje i procesje. 8 sierpnia na ulice stolicy wyszło w procesji z relikwiami sto tysięcy warszawiaków, na Placu Zamkowym wystawiano wtedy także obraz Matki Bożej Łaskawej. W ostatnim dniu nowenny do bł. Andrzeja Boboli – 15 sierpnia 1920 roku – nastąpił przełom i wojska bolszewickie zostały odparte. Wielu wierzy, że tego dnia na niebie pojawiła się Matka Boża z połamanymi strzałami w rękach – strwożeni bolszewicy ustąpili. . .

Karol Jaworski



Koronka do Matki Bożej Łaskawej Patronki Warszawy (do prywatnego odmawiania)

W Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen.
Dozwól nam chwalić Cię o Matko Najłaskawsza
i wystawiać Twą niezrównaną opiekę nad nami.

Chwała Ojcu...

NA KRZYŻYKU:

Wierzę w Boga..., Ojciec nasz..., Chwała Ojcu...

NA DUŻYM PACIORKU:

Modlitwa do Matki Bożej Łaskawej:

Błogosławiona Matko Boża Łaskawa, skieruj na nas swoje miłosierne spojrzenie. Od trzech przeszło wieków Warszawa Cię wzywa jako swoją Patronkę i Orędowniczkę przed tronem Boga. Ty zawsze spieszyłaś na pomoc naszej Stolicy w jej ciężkich chwilach dziejowych, kiedy padały jej mury strawione siłą bombardowań i ogniem. Gdy krew męczeńska niby rzeka płynęła jej ulicami, o Matko, byłaś z Warszawą i strzegłaś jej ducha, by pozostał nie zatruty. O strzeż nas teraz i oddal od miasta naszego wszelkich nieprzyjaciół. Niech grzech nie plami dusz mieszkańców Stolicy. Niech nędza moralna i podłość nie pełzają po jej ulicach i placach. Niech Warszawa pozostanie na zawsze miastem nieujarzmionym. Niech w sercach jej mieszkańców potężniejsza wiara, zmartwychwstała nadzieja i rozplamiona się miłość mocniejsza niż śmierć. Spraw, by w odbudowanych domach Stolicy żyli ludzie o sercu nowym, współczującym, gościnnym i otwartym dla wszystkich. Uproś u Boga, by Stolica nasza i Polska cała szły drogą swych przeznaczeń, wypisanych na kartach historii. Wspomożycielko wiernych, przybądź nam z pomocą. Pocieszycielko strapionych, uspokój nasze serca. Uzdrawienie chorych, ulecz cierpiących na duszy i ciele. Patronko Warszawy, módl się za nami u Boga. Wstawiaj się za nami do Syna Twego, byśmy po życiu ziemskim, mogli na zawsze zjednoczyć się z Ojcem, który jest w Niebie i wraz Tobą śpiewać Mu „Magnificat” Chwały Wiecznej. Amen.

NA TRZECH MAŁYCH PACIORKACH:

1. Módl się za nami Maryjo, Matko Łaskawa: Niech Chrystus, który jest drogą prowadzi nas Swą drogą odwieczną, prosi Ciebie Warszawa!
Zdrowaś Maryjo...

2. Módl się za nami Maryjo, Matko Łaskawa: Niech Chrystus, który jest prawdą doprowadzi nas do poznania prawdy, która nas wyzwoli,
prosi Ciebie Warszawa!
Zdrowaś Maryjo...

3. Módl się za nami Maryjo, Matko Łaskawa: Niech Chrystus, który jest życiem da nam nowe życie, a będziemy zbawieni, prosi Ciebie Warszawa!
Zdrowaś Maryjo...

NA DUŻYCH PACIORKACH:

Witaj Królowo, Matko Miłosierdzia, życie, słodyczy i nadziejo nasza witaj. Do Ciebie wołamy wygnańcy, synowie Ewy. Do Ciebie wdychamy, jęcząc i płacząc na tym łez padole. Przeto, Orędowniczko nasza, one miłosierne oczy Twoje na nas zwróć. A Jezusa, błogosławiony owoc żywota Twojego po tym wygnaniu nam okaż. O Łaskawa, o Litościwa, o Słodka Panno Maryjo.

NA DZIESIĘCIU MAŁYCH PACIORKACH:

Matko Łaskawa, ze Świętojańskiej w Warszawie z gniewu Bożego połamanymi strzałami, módl się za nami.

PO KAŻDEJ DZIESIĄTCE:

Nad wrogiem daj nam zwycięstwo, Maryjo, Matko Najłaskawsza.

NA ZAKOŃCZENIE:

Pod Twoją obronę...

Módlmy się: Boże nasz Ojciec, który w Swej dobroci sprawiłeś, że Matka Twojego Syna jest i naszą Matką, daj prosimy, abyśmy uciekając się pod płaszczy Jej łaskawej opieki doświadczyli Twojego Miłosierdzia. Przez Chrystusa, Pana naszego.

Amen.

KOCHAĆ TO CHCIEĆ DLA KOGOŚ DOBRA

Człowiek ponad miarę obdarowany

Z Ojcem Mirosławem Paciuszkiewiczem SJ rozmawia Anna Jarmusiewicz

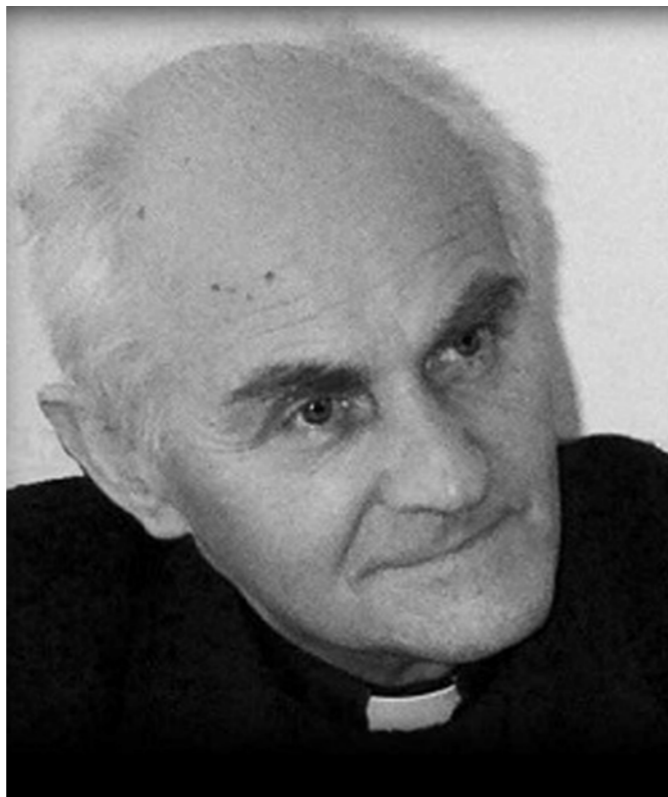
ANNA JARMUSIEWICZ: Plaga rozwodów, które krzywdzą wiele osób, a zwłaszcza dzieci, od dawna dotyka także ludzi wierzących. Wydaje się, że wiele osób nie do końca uświadamia sobie, jak wielką wagę Ewangelia przykładą do małżeństwa i jego nierozzerwalności.

MIROSLAW PACIUSZKIEWICZ SJ: Trzeba tu rozróżnić między tym, co pochodzi od Chrystusa i co od Kościoła, choć i ten został ustanowiony przez Chrystusa. Kościół może wprowadzić pewne rygory prawne – zmieniały się one w ciągu wieków, zwłaszcza jeśli chodzi o sakrament pojednania, czyli spowiedź, i tzw. czyny pokutne, np. pomoc świadczoną bliźnim. Jeśli jednak chodzi o samą zasadę nierozzerwalności małżeństwa, to nie jest to sprawa Kościoła. Sam Chrystus zdecydowanie opowiada się za nierozzerwalnością związku małżeńskiego. Czytamy o tym np. w Ewangelii wg św. Mateusza (5,31–32).

Pisał Ksiądz, że z chrześcijańskiego punktu widzenia małżeństwo może być zatem tylko religijne, to jest sakramentalne. Jednakże ludzie żyjący w związkach niesakramentalnych są także w Kościele.

Trzeba podkreślić wyraźnie, że rozmawiamy tu o rzymskokatolickim punkcie widzenia. Bo wiadomo, że np. islam, judaizm i pewne odłamy chrześcijaństwa nie uznają sakramentalnego charakteru małżeństwa. Tak więc, mówiąc o związkach niesakramentalnych, nie mówimy, oczywiście, o związkach zawartych np. przez ludzi niewierzących, nieochrzczonych, w Urzędach Stanu Cywilnego. Ta nazwa dotyczy ludzi ochrzczonych, przyznających się do Kościoła rzymskokatolickiego, w którym przyjmuje się dożgonność i nierozzerwalność małżeństwa. Związki niesakramentalne zatem są to małżeństwa zawarte w Urzędzie Stanu Cywilnego z pominięciem Kościoła (choć nie było przeszkód do ślubu w Kościele). Są to także pary żyjące w tzw. wolnych związkach, bez żadnego zobowiązania wobec społeczności państwowej czy Kościoła. Wchodzą tu też w grę takie osoby, które zawarły kościelne małżeństwo, uzyskały cywilny rozwód, a potem wstąpiły w kolejny związek w Urzędzie Stanu Cywilnego i w każdej chwili zawarłyby związek sakramentalny, gdyby tylko mogły (...), dochodzą one do wniosku, iż zbyt łatwo zapadła decyzja rozwiązania pierwszego małżeństwa. Potem, już w tym drugim, nastąpiło pogłębienie wiary i człowiek uświadomił sobie, że zamknął sobie drogę do sakramentów. Znam wiele osób, które dramatycznie to przeżywają, doświadczają ogromnej tęsknoty za Bogiem i odczuwają wręcz głód sakramentów. Z tym, że to przeżywanie także jest zróżnicowane: jedni przyznają się, że jest to konsekwencja ich własnych decyzji, drudzy znów obwiniają innych, także Kościół.

Często, na skutek niepogłębionej wiedzy na temat sakramentów, ludzie uważają, że skoro żałują za swe błędy, to powinno wystarczyć.



To jest rzeczywiście sprawa właściwego rozumienia sakramentów. Wśród bowiem warunków dobrego przeżycia sakramentu pokuty (gdy mówimy o naszych słabościach Chrystusowi), obok żalu za grzechy – potrzebne jest postanowienie poprawy, skoro chcemy zawrzeć bliższą przyjaźń z Chrystusem. Grzech jest to, oczywiście, termin z języka religii i zakłada odniesienie do Boga. Człowiek może rzeczywiście przeżywać żal, że skomplikował sobie życie, a jednak nie zmienić swojej sytuacji. Kapłan może nawet dać rozgrzeszenie, ale będzie to bezprzedmiotowe, bo chodzi przecież o dyspozycję człowieka, jego ufność, że droga wskazana przez Chrystusa jest najlepsza.

Ksiądz ma duże doświadczenie, prowadząc od 1987 roku duszpasterstwo par niesakramentalnych. Dlaczego często miłość kończy się tak szybko?

Cóż, ludzie, którzy przeżyli w swoim czasie rozwód, mają mocne poczucie, że coś się w ich życiu nie udało. Pierwszy związek rozpoczynali przecież pod znakiem wielkiej miłości, nie zakładali, że on się skończy, że wszystko stanie się nieaktualne, choć ślubowali sobie „miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci”. Jeżeli jednak miłość się skończyła, to można się zastanawiać, czy to w ogóle była miłość? Święty Paweł w pięknym hymnie do miłości mówi, że miłość jest wierna i nigdy nie ustaje. Może więc co innego nazywało się miłością? Rozwód jest przeciwko Bożemu planowi co do ludzkiej miłości, a to dobry plan, bo Bóg sam jest największą miłością i to on stworzył ludzką miłość.

Czy ludzie nie traktują trochę sakramentu małżeństwa jako zaklęcia, przypuszczając, że zagwarantuje on powodzenie w ich związku?

Sakrament nigdy nie działa jak za dotknięciem guziczka, potrzebna jest ludzka współpraca, bo człowiek nie jest automatem, ale osobą, istotą rozumną i wolną. Jeżeli zawiera się związek małżeński w Kościele, to nie powinno się zapraszać do niego Chrystusa tylko na kilkadziesiąt minut, ale trzeba go zaprosić na całe życie. Często jednak sakrament traktuje się tylko jako ceremonię, piękną oprawę. A potem już brak modlitwy, uczestnictwa w Mszy świętej. Ważna jest wola współpracy z Chrystusem. Bo w realizacji dobra zawsze człowiek współpracuje z Bogiem.

Czy więc i miłości nie traktują ludzie jako czegoś gotowego, nad czym nie trzeba pracować?

Często ludzie myślą o miłości jako o oczarowaniu i fascynacji. Gdy więc stwierdzają, że ta fascynacja się kończy, uważają, że to koniec miłości, a więc dalsza wspólna droga nie ma sensu. Bywa i tak, że małżonkowie nie potrafią przezwyciężyć pierwszej większej przeszkody, nieporozumienia. Tymczasem okazuje się, że przy dobrej woli obojga nawet konflikty mogą prowadzić do dobrego. Jest potrzebna wyostrzona świadomość, że głęboko rozumiana miłość polega nie tylko na fascynacji i oczarowaniu, ale na wzajemnym obdarowywaniu się. Czterdzieści lat temu znalazłem proste i mądre stwierdzenie w łacińskim podręczniku teologii: kochać to chcieć dla kogoś dobra. A jeśli tak, to za dobrze przeżywaną miłość trzeba płacić. Często podkreślam: takie jest prawo tego świata. Za każdą wielką wartość trzeba płacić: za piękną miłość, za przyjaźń – także. W przeciwnym razie można wszystko zbanalizować, zwulgaryzować i przegrać.

Często ludziom wydaje się, że miłość realizuje się tylko w sferze seksualnej.

Miłość rozwija się głównie w sferze psychicznej. Seks może być wyrazem miłości, ale nie musi. Angażując się w seks za wszelką cenę, ludzie często idą obok tego, za czym przez całe życie tęsknią.

Jakie są warunki, żeby przystępować do sakramentów świętych, jeżeli żyje się w związku niesakramentalnym?

W dokumencie *Familiaris Consortio* z 1981 roku Jan Paweł II określa te warunki: ludzie żyjący w związkach niesakramentalnych mogą korzystać ze wspomnianych sakramentów wtedy, gdy zrozumieją, że skoro nie otrzymali w sakramencie małżeństwa prawa do drugiego człowieka – i wobec tego prawa do współżycia seksualnego, zdecydują się na tzw. związek siostrzano-braterski. Taka forma życia nie stoi w sprzeczności z sakramentem małżeństwa, z którego np. nie można zrezygnować, ponieważ są z drugiego związku dzieci. Mogę powiedzieć z własnych wieloletnich obserwacji, że setki par podjęły taką decyzję i w wielu przypadkach owocuje ona ogromnym wzajemnym szacunkiem i... miłością.

Człowiekowi współczesnemu, bombardowanemu często nachalnym seksualizmem i wierzącemu bezkrytycznie we freudowskie imperatywy, że brak seksu fizycznego wywołuje

wręcz dewiacje psychiczne, a przynajmniej okalecza człowieka – wydaje się to niedzisiejsze i niemożliwe.

Przecież to Bóg stworzył seksualność człowieka i jego miłość. Uczynił go też jednością psychofizyczną. Bóg nieraz prosi o coś więcej. Można zrezygnować z pewnych wartości na rzecz zakochania się w Bogu. Kto doświadczył tego, przeżywając psychologiczne pogłębienie wiary, wie, że człowiek może być porwany i zafascynowany. Można kochać Boga w człowieku i człowieka – w Bogu. Okazuje się, że człowiek jest obdarowany ponad miarę. To jest wielkie doświadczenie, gdy człowiek w pewnym momencie zaczyna dostrzegać Boga jako największą wartość i jako osobę bardzo bliską. Wtedy także o wiele bliżsi stają się także ci, których kochamy, i których jeszcze, albo już, nie kochamy.

Można jednak unieważnić małżeństwo zawarte w Kościele.

Owszem, od wieków bywało tak, że orzekano nieważność małżeństwa. W Kościele nie ma rozwodów, natomiast specjalne sądy duchowne, które są w każdej diecezji, mogą orzec, że małżeństwo od początku było nieważnie zawarte. Tu nie chodzi bynajmniej o wybiegi prawne i kruczki jurydyczne. Są przecież różne przyczyny, decydujące o nieważności, np. przymus, choroba psychiczna, brak świadomości istotnych praw i obowiązków wynikających z małżeństwa. Ale jest jeszcze przynajmniej kilkanaście innych.

Gdzie można znaleźć podstawowe informacje na temat teologii małżeństwa.

Prócz wymienionych: Pisma św., adhortacji apostolskiej *Familiaris Consortio*, także w *Liście do Rodzin* Jana Pawła II, w każdym podręczniku teologii moralnej, w katechizmach np. w *Katechizmie Kościoła Katolickiego*, w dokumencie Soboru Watykańskiego II *O Kościele w świecie współczesnym* (*Gaudium et Spes*) i wreszcie w różnych opracowaniach.

Na zakończenie naszej rozmowy proszę jeszcze powiedzieć, jak to jest z przynależnością do Kościoła osób pozostających w związkach niesakramentalnych – wielu z tych ludzi odchodzi od Kościoła z poczuciem, że są odrzućeni.

To jest nieporozumienie. Chrystus zapewnia, że nie przychodzi w pierwszym rzędzie do tych, którzy się dobrze mają, są sprawiedliwi i święci, ale do grzeszników. A papież we wspomnianej już adhortacji apostolskiej serdecznie apeluje do pasterzy i całej wspólnoty wiernych o okazanie pomocy rozwiedzionym, którym pokomplikowało się życie. Przypomina, że jako ochrzczeni należą oni do Kościoła i powinni uczestniczyć w jego życiu.

Za mało uświadamiamy sobie, jak wielką nadzieję mogą mieć ludzie wierzący, żyjący w związkach niesakramentalnych, a także niewierzący. Słynny założyciel Wspólnot Jeruzolimskich, Pierre Delfieux, powiedział pięknie, że to Bóg bardziej szuka człowieka niż człowiek Boga.

W jednym ze wspomnień, w książce *Fascynacje duszpasterskie*, napisałem, że to Pan Bóg modli się do grzesznego człowieka i prosi o jego miłość. Bo Bóg jest tylko miłością i o miłość mu chodzi. O tym zawsze trzeba pamiętać.

Wywiad po raz pierwszy ukazał się w 18 września 1999 w dzienniku „Rzeczpospolita”.

ODCZYTAĆ BOŻY ZAMIAR

Z Ojcem Mirosławem Paciuszkiewiczem SJ rozmawia Józef Augustyn SJ



JÓZEF AUGUSTYN SJ: Co było ważne w życiu Ojca?

MIROŚLAW PACIUSZKIEWICZ SJ: Zawsze istotne dla mnie było odczytanie Bożych zamiarów wobec mnie i ich dobra realizacja. Ważne też było przekonanie, które szło za mną przez dziesięciolecia, a które zawdzięczam w ogromnej mierze mojemu ojcu duchownemu, który mówił, że dla kapłana najważniejsze jest, by dobrze sprawował Mszę św. Już w seminarium rozumiałem, a potem umacniałem się w tym przekonaniu, że to nie jest program minimum. Jeżeli bowiem kapłan ma dobrze sprawować Mszę św., to musi coś w nią wnieść, a wnosi w nią praktycznie całe swoje życie. Kiedyś w wierszu s. Nulli z Lasek, poświęconym poszczególnym częściom Mszy św., znalazłem fragment, który ciągle, przez wiele już lat, do mnie przemawia: „Msza się skończyła, Msza się zaczyna”. Kapłan, wychodząc z Mszy św., już zaczyna zbierać materiał, który stanie się jego darem ofiarnym w czasie kolejnej Eucharystii. Dlatego można używać takiej metafory, że życie kapłana jest nieustanną celebracją Mszy św.

Życie Ojca jest dobrym przykładem na to, że swoje powołanie można rozeznawać całymi latami. Ojciec wstąpił bowiem do zakonu już jako kapłan diecezjalny. Co było przyczyną takiej decyzji?

Patrząc z perspektywy wielu lat, dochodzę do wniosku, że od początku miałem powołanie zakonne, tylko po prostu zabrakło mi wyobraźni. W mojej rodzinnej okolicy nie było zakonów męskich. Dlatego też, gdy pojawiła się myśl o kapłaństwie, od razu skojarzyłem ją z diecezjalnym seminarium plockim.

Na początku pobytu w seminarium, chyba na drugim roku, przeżyłem coś ważnego. Poznałem bliżej kapłana

zakonnego, który dzielił się swoim doświadczeniem życia wspólnotowego. Wtedy sobie uświadomiłem, że to powinna być także i moja droga. Przeżyłem wówczas swoiste trzęsienie ziemi. Z myślą o wstąpieniu do zakonu poszedłem do ojca duchownego. Miałem do niego wielkie zaufanie, był dla mnie dużym autorytetem. Dlatego udało mu się uspokoić mnie, jak się okazało, na dwadzieścia lat. Wy tłumaczył mi wtedy, że trzeba wziąć pod uwagę sytuację zakonów. Był rok 1950 czy 1951, zanosilo się na to, że władze państwowe w każdej chwili mogą rozwiązać zakony. Prowincjał jezuitów, o. Bulanda, był wtedy w więzieniu przy Rakowieckiej. Dlatego ojciec duchowny, radząc mi, mówił, że rozsądniej będzie dokończyć studia w seminarium. W przeciwnym razie mógłbym sobie bardzo skomplikować życie. Dodał jednak, że jeżeli Pan Bóg będzie chciał, abym podążał drogą życia zakonnego, to prędzej czy później da mi bardziej czytelny znak.

Jego argumenty przemówiły do mnie. Jednak nie zerwałem z myślą o życiu wspólnotowym i przez wiele lat szukałem różnych jego form. Na przykład razem z grupą kolegów ze studiów zapragnęliśmy powołać do istnienia instytut świecki księży i mężczyzn świeckich, na wzór żeńskich instytutów.

Dzisiaj coraz częściej młodzi ludzie wstępują do zakonu pod wpływem pewnego impulsu. Często po prostu nie są dojrzałymi emocjonalnie. To nie jest zarzut, ale stwierdzenie faktu, który jest wynikiem warunków, w jakich żyją w rodzinie, w społeczeństwie. Czy wobec tego rozeznania drogi życiowej nie należałoby „rozciągnąć w czasie”? Można by stworzyć pewien typ duszpasterstwa, który w ciągu nawet kilku lat pomagałby w rozeznaniu powołania.

Według mnie w niektórych grupach to się już dzieje. Często pod wpływem osób świeckich młodzi ludzie zastanawiają się, jak dobrze odczytać Boży zamiar. Znam młodych, świeckich ludzi bardzo zaangażowanych religijnie, którzy od lat pytają Boga o drogę. U nich rozeznanie powołania zaczęło się naprawdę wcześniej. I ich decyzja będzie dojrzała.

Swego czasu obserwowałem kolegów z seminarium i chętnie rozmawiałem z nimi na temat ich dróg powołania. Bywali tacy, którzy doświadczyli nagłego olśnienia, jakiegoś mocnego impulsu, i wstępowali do seminarium. Nie zawsze jednak były to trwałe powołania. Bo, na przykład, jeżeli komuś umarł ojciec i pod wpływem takiego przeżycia wstąpił na drogę prowadzącą do kapłaństwa, to zdarzało się, że nie wytrwał w powołaniu. Nie miał bowiem właściwej motywacji. Miałem też kolegów, którzy przed każdymi święceniami zastanawiali się, czy przyjąć kolejne święcenia. Nieraz do północy modlili się w kaplicy i pytali Pana.

Muszę przyznać, że nie bardzo rozumiałem taką postawę. Dla mnie wszystko po wstąpieniu do seminarium było konsekwencją tej najważniejszej, pierwszej decyzji. W podjęciu jej pomogły mi moje wewnętrzne zmagania przed wstąpieniem do seminarium. Ja dość wcześnie odkryłem swoje powołanie. Jednak w czwartej klasie gimnazjum zrodziły się we mnie pretensje do Pana Boga. Pytałem, dlaczego nie mogę snuć świeckich planów na przyszłość, tak jak moi koledzy. Tłumaczyłem Panu Bogu, kto by się lepiej nadawał do kapłaństwa niż ja. Dopiero z czasem zrozumiałem, jakim darem były te wewnętrzne zmagania. Późniejsze decyzje były już konsekwencją „mocowania się” z sobą i Panem Bogiem.

Jestem też ogromnie wdzięczny Panu Bogu za to, że doświadczyłem trudności w dziedzinie wiary podczas studiów filozofii. Było to związane z wykładami z teorii poznania. Uświadomiłem sobie, że ten świat, który mnie otacza, jest inny, niż wydaje się moim zmysłom. Załamało się moje zaufanie do otaczającej mnie rzeczywistości i pojawiły się poważne pytania dotyczące wiary. To było naprawdę trudne doświadczenie. Pamiętam, że w tym czasie chodziłem podczas przerw w zajęciach do kaplicy i prosiłem: „Panie, trzymaj mnie za czuprynę, bo Cię zdradzę”.

Gdy kończyłem seminarium, rozumiałem, że te doświadczenia były potrzebne. Dzięki nim moja wiara stała się jakby bardziej moja, „wywalczona”, a nie tylko kulturowo odziedziczona. Dzisiaj ze zrozumieniem mogę powtarzać wielu ludziom, że trudności w dziedzinie wiary w życiu człowieka myślącego są czymś normalnym. Tylko ważne jest, żeby przeżywać je w porozumieniu z Bogiem. Nie należy wtedy rezygnować z modlitwy osobistej, z udziału we Mszy św. – bo byłoby to odchodzeniem od Boga. Natomiast jeżeli te trudności przeżywam w porozumieniu z Bogiem, to wychodzę z nich obronną ręką, a nawet ze wzmocnioną wiarą. Mogą one pełnić rolę swoistego *katharsis*.

Powołanie do małżeństwa również wymaga rozeznania. Ojciec od lat posługuje małżeństwem niesakramentalnym i dobrze zna ich sytuację. Czy większość przeżywanych przez nich trudności nie wynika właśnie z braku rozeznania?

Rozmawiałem naprawdę z wieloma ludźmi żyjącymi w niesakramentalnych związkach małżeńskich. Często

opowiadali, jak doszło do rozvodu, a później do kolejnego związku. Prawie zawsze zwracali uwagę na fakt, że byli młodzi, że nie bardzo rozumieli, o co chodzi w małżeństwie. A gdy przychodziły większe trudności, rozchodzili się. Ciekawe jest to, że dość często ci ludzie lepiej potrafią się odnaleźć w kolejnych związkach.

Drugi związek bardziej udany niż pierwszy... Tylko że to jest wbrew sumieniu.

Dla ludzi wierzących jest to nieustanna udręka. Wielu spośród tych, z którymi rozmawiałem, a rozmawiałem z tysiącami, swój stan duchowy określało jako tęsknotę i głód. Można więc to podsumować w następujący sposób: żyjąc w związku niesakramentalnym, odkrywali wiarę i w innym świetle postrzegali instytucję małżeństwa. Tak jakby dojrzewali do właściwego widzenia, także sakramentu małżeństwa.

To jest niewątpliwie trudna i bolesna sytuacja. Co robić, żeby przygotowywać ludzi do sakramentu małżeństwa tak, by później nie musieli przeżywać takich zmagani?

Przez te wszystkie lata mojej posługi wśród osób żyjących w związkach niesakramentalnych dochodziłem do wniosku, że warto bardziej postawić na profilaktykę. Najczęściej bowiem przychodzili do mnie ludzie, którzy już się rozwiedli, żyli w nowym związku i mogli jedynie tylko boleć z tego powodu. Z pewną radością witałem te pary, które ciągle trwały w związkach sakramentalnych, mimo że coś w nich się psuło, i ze swoimi problemami przychodzili do kapłana. Jakiemuś procentowi takich par można było jeszcze pomóc.

Według mnie zaciera się różnica między duszpasterstwem obu tych grup. Niejednokrotnie uświadamiałem sobie, że pary żyjące w związkach niesakramentalnych mogą stanowić przykład dla tych, którzy w związkach sakramentalnych mają nieustanne kłopoty ze sprawami płci, ze współżyciem seksualnym i tak dalej. Przyczyną tych kłopotów najczęściej jest fakt, że kiedyś zabrakło wysiłku, wyrzeczenia, wzajemnego szacunku. Ja coraz częściej mówię ludziom, którzy decydują się na współżycie przedmałżeńskie, że jeśli przed małżeństwem zabraknie wzajemnego szacunku, wysiłku, wyrzeczenia, to będą za to drogo płacić w małżeństwie przez całe lata.

Szacunek powinien być punktem wyjścia wspólnego budowania. Żyjemy jednak w cywilizacji, która uczy egoizmu, wykorzystania danej sytuacji dla własnego dobra.

Dlatego powinniśmy mówić o tym, budzić wrażliwość, uświadamiać, że to wszystko, co socjologowie nazywają „ciśnieniem odgórnym”, czyli postawy i zachowania kreowane przez media, nie sprzyja stałości małżeństwa i rodziny. Trzeba na nowo odkrywać wartości, które przez tysiąclecia były i pozostają nadal aktualne. Warto też wyraźnie powiedzieć, że podstawą życia w każdym stanie jest życie duchowe. Ono jest bowiem wyrazem współpracy z Bogiem powołującym czy to do kapłaństwa, czy do życia rodzinnego. Jeżeli chcemy realizować nasze powołanie, to powinniśmy być ludźmi modlitwy.

Pozwolę sobie wobec tego zadać jedno osobiste pytanie: jak Ojciec się modli?

Przez całe życie starałem się zachować wierność modlitwie. W seminarium rozważałem całe partie Pisma Świętego, teksty Tomasza à Kempis. Jednak w pewnym momencie doświadczyłem trudności z myśleniem dyskursywnym – zaczęło mnie ono męczyć.

Łaską dla mnie było spotkanie z taką formą modlitwy, jaką proponował rosyjski Pielgrzym. Po raz pierwszy do wiedziałem się o nim z książki Jerome'a Salingera *Franny i Zoey*. Zorientowałem się, że książka rosyjskiego chłopca z drugiej połowy XVIII wieku zrobiła duże wrażenie na Salingerze, bo całe jej partie zacytował w swojej powieści. Dzięki temu uświadomiłem sobie, że sposób modlitwy, który proponuje Pielgrzym, czyli powtarzanie setki, tysięcy słów: „Panie, Jezu Chryste, zmiłuj się nade mną grzesznikiem”, może być dobrym kierunkiem modlitwy. Ja nawiązałem jednak do modlitwy *Ojciec nasz*, twierdząc, że skoro Chrystus dał swoim uczniom tę modlitwę jako odpowiedź na pytanie, jak się mają modlić, to trzeba na serio przyjąć Jego sugestię. Wobec tego podzieliłem tę modlitwę na cały tydzień. Pierwszego dnia powtarzałem: „Ojciec nasz, któryś jest w niebie”, w poniedziałek – „święć się imię Twoje”, kolejnego dnia – „przyjdź królestwo Twoje” i tak dalej. Miałem wrażenie, że powtarzając te słowa, współpracuję z Bogiem w dziele zbawienia i to mi dawało ogromną satysfakcję i radość.

Z czasem do tej modlitwy dodałem inny element – powtarzałem imię Jezus. Tu poszedłem za sugestią mojego współbrata Jacka Bolewskiego i odmawiałem *Zdrowaś Mario* do momentu: „błogosławiony owoc żywota Twojego Jezus” i potem powtarzałem: „Jezus”, „Jezua”, „Bóg zbawia, uzdrawia”.

Później doszedł jeszcze jeden element – we fragmencie Ewangelii opowiadającym o spotkaniu Jezusa z Piotrem i w pytaniu trzy razy postawionym Piotrowi: „Czy kochasz Mnie?” znalazłem nową formę modlitwy. Zauważyłem, że można modlić się słowami: „Panie, Ty wiesz, że Cię kocham”.

Kiedyś, analizując swoją modlitwę, stwierdziłem, że kontempluję w niej Ojca oraz Syna i to na dwa sposoby (jednego dnia powtarzałem imię Jezus, a drugiego: „Panie, Ty wiesz, że Cię kocham”). Zauważyłem jednak, że brak jeszcze kontemplacji Trzeciej Osoby. Stwierdziłem więc, że będę powtarzał słowa: „Przybądź, Duchu Święty”.

W ten sposób od kilku już lat mam takie trzy „dwudziestominutowki modlitewne”. To jest o tyle wygodne, że łatwiej je „wcisnąć” w codzienność. Ponadto odmawiam brewiarz, różaniec, *Koronkę do Miłosierdzia Bożego*, próbuję czytać coś z dziedziny religijnej.

A jeśli chodzi o czas na modlitwę, to muszę przyznać rację księdzu Edwardowi Brzostowskiemu, misjonarzowi polskiego pochodzenia pracującemu w Japonii. Kiedyś poskarżyłem się mu, że mam kłopot ze znalezieniem czasu na modlitwę. Odpowiedział, że skoro ciężko jest mi znaleźć pół godziny na medytację, to powinienem spróbować godzinę, a wtedy zobaczę, że będę miał czas. Przyznałem mu rację.

Wywiad po raz pierwszy ukazał się w czasopiśmie „Życie Duchowe” 2003, nr 36 (jesień).

PANOWIE,

Wacław Oszejca SJ

DWA, TRZY LATA TEMU SIEDZIELIŚMY W KILKU W JADALNI w naszym domu przy Rakowieckiej przy śniadaniu. Gadaliśmy o tym, o tamtym, rozmowa rozwijała się, temperatura rosła, chodziło o politykę, i naraz komuś wyrwało się mocno nieparlamentarne słowo.

Mirek, który w tym sporze nie uczestniczył, podniósł głowę znad talerza i, no powiedzmy, nieomal warknął: „Panowie, gdzie my jesteśmy?”. Dzisiaj, kiedy przychodzi mi pisać pożegnanie Ojca Mirosława Paciuszkiewicza, to jedno zdanie, porzekadło, wydaje się być kluczem otwierającym te prawie osiemdziesiąt lat jego życia.

Jest wiele faktów, milowych kamieni czy też kolejnych drzwi, które otwierał Mirek, bo tak na niego wołali zarówno jego rówieśnicy, jak i o wiele młodszy. Jeśli z czymś się liczył poważnie, to z rzeczywistością, z tym, „gdzie jesteśmy”, gdyż to, gdzie się jest, miejsce bytowania, ma swoją mowę, swój głos, który śmiało można nazwać słowem Bożym. Ojciec Tomasz Kot, dzisiaj prowincjał, wspomina, w jaki sposób ojciec Mirek egzaminował go przed przyjęciem do zakonu. Zastawiałem się nie bez obaw, jak taki egzamin wygląda, zdam czy nie zdam, przyjmą, nie przyjmą? Tymczasem egzaminator posadził mnie na łóżku, wyjął z szuflady scyzoryk i zaczął obierać jabłko. Dzielił na ćwiartki, częstował, a przy tym rozmawiał i ani się spostrzegłem, kiedy było już po egzaminie.

To wyczulenie na powagę chwili i powagę człowiekaującego tu i teraz sprawiało, że ojciec Paciuszkiewicz odbierał rzeczywistość, jak się rzekło, jako słowo Boga, wciąż jednak tajemnicze, niemożliwe do odczytania, gdyż tak dalece przekraczające wszelką prawdę i wiedzę, jaką o świecie już zdołaliśmy zdobyć.

W ostatniej swojej książce pod znamienym tytułem *Oswajanie śmierci* ojciec Mirosław Paciuszkiewicz napisał: „Boję się i zapewne inni boją się tego, czego jeszcze nigdy nie doświadczyli, co jest owiane największą tajemnicą. Idziemy ku nieznanemu. A to wymaga odwagi, ryzyka i przede wszystkim ogromnego zaufania”. W 1971 roku wstąpił do jezuitów.

W 1973 roku obronił pracę doktorską na ATK z zakresu teologii, został duszpasterzem akademickim na KUL-u i przełożonym miejscowej wspólnoty jezuickiej. Następnie został przeniesiony do Warszawy, gdzie w Collegium Bobolanum wykładał homiletykę i redagował „Przegląd Powszechny”.

Przez szereg lat głosił homilie radiowe w kościele pw. Świętego Krzyża. Tajemnica posługi słowa ojca Mirosława Paciuszkiewicza tkwi w jego humanizmie na wskroś przenikniętym Ewangelią i na nieustannym poszukiwaniu odpowiednika języka, który byłby zrozumiały dla współczesnego człowieka. Przede wszystkim jednak to, że ojciec Mirek był tak lubiany i „rozchwytywany” wynikało z jego ignacjańskiego podejścia do rzeczywistości. On szukał Boga nie w „niebiesiach”, ale „we wszystkim i ponad wszystkim”, a zwłaszcza,

GDZIE MY JESTEŚMY?

jak mówi papież Franciszek, na peryferiach zarówno świata, jak i Kościoła. Starał się, i to skutecznie, docierać do tych, którzy – nieważnie, z jakiego powodu – nie widzieli dla siebie miejsca w Kościele, lub słusznie, czy niesłusznie do Kościoła się zrazili i odeszli. Stąd jego posługa radiowa wypływy z troski o ludzi peryferii, których rzeczywiście postrzegał jako siostry i braci. Radio dawało mu taką możliwość. Ojciec Mirek, jakby uprzedzając papieża Franciszka, wyprowadzał Chrystusa z kościoła i otwierał Mu drzwi do tych miejsc i ludzi, których inni mieli za straconych i którzy sami omijali kościół szerokim łukiem.

Proboszczował parafii św. Andrzeja Boboli w Warszawie. Pełnił też funkcję moderatora Przymierza Rodzin Archidiecezji Warszawskiej.

Ojciec Mirosław opublikował w sumie osiemnaście książek, m.in. *Tęsknota i głód*, *Drogi powrotu*, *Andrzej Bobola* i ponad dwieście artykułów. Pisał też wiersze. Był homiletą i kaznodzieją z powołania, gdyż umiał słuchać i mówić o tym, co usłyszał, co mu powiedział Ten, Który Jest, w tym i ponad tym, co jest. To z tego powodu przed wieloma laty, jako prekursor, miał odwagę się zająć dolą-niedolą żyjących w związkach czy małżeństwach niesakramentalnych. Miał odwagę, gdyż zaczynał w czasach, gdy domy takich ludzi, żyjących na kocią łapę, proboszcz i wikariusze, nawet chodząc po kołędzie, omijali szerokim łukiem, a w razie śmierci odmawiano im katolickiego pochówku. Któż zliczy godziny i dni, i kilometry, kazania, konferencje i rekolekcje, spowiedzi i rozmowy, ale też któż policzy ciosy ze strony tych, którzy chcieliby mieć Kościół nie tu, gdzie żyją, w swoim domu, a jedynie w kościele. Jednocześnie, a raczej dzięki temu, dana mu była w nagrodę za odwagę i trud nie lada radość.

Widział Mirek nie jeden, ale wiele poranków zmartwychwstania tych, którzy znowu, choć dalej niesakramentalni, mogli zająć należne im miejsce w Kościele. Z miejsca tego zostali eksmitowani, co prawda zgodnie z prawem, ale dzisiaj, dzięki chrześcijańskiej odwadze ojca Mirosława i jemu podobnych, widzimy to wyraźnie, że niesprawiedliwie.

Od paru lat przeciwko Mirkowi sprzymierzyły się choroby, które systematycznie uniemożliwiały mu dalsze posługiwanie. Jak mógł, tak się nie dawał. Daleki od uzalania się nad sobą, jeszcze dalszy od jakiegokolwiek pobożnego cierpiętnictwa, dokąd mógł, żył jakby ponad cierpieniem. W *Oswajaniu śmierci* Mirek napisał: „I oto jestem bogatszy o kolejne doświadczenie. Widziałem na ekranie swoje żyły i drucik drążący naczynia wieńcowe. Widziałem także przewody od rozrusznika serca. Co za płatanina tego wszystkiego!”.

Płatanina wszystkiego, chciałoby się powiedzieć, ze wszystkim. Taki jest organizm człowieka, takie jest ludzkie życie, nic dziwnego, że czasami nie było mu z nim łatwo. Ale znowu, zapewne owo „Panowie, gdzie my jesteśmy?” pozwalało mu nawet na tydzień przed śmiercią, już w szpitalu, dopomnieć się o zegarek.

„No widzisz, zapomniałem z domu wziąć zegarek i teraz nie wiem, wieczór to czy poranek”. Chciał do ostatka wiedzieć, gdzie jest i dokąd zmierza, stąd tak odważne wyzwanie: „Bardzo pragnę zatęsknić za śmiercią, rozumianą oczywiście nie w kategoriach fizjologicznych, jako ostatnie drgnienie człowieka, ale jako decydujące spotkanie z Chrystusem. (...) Bardzo pragnę pójść dalej i na serio zacząć tęsknić za Chrystusem i za Ojcem, i Duchem Świętym”. Stąd, ze świadomości splątania, wypływała troska ojca Mirosława Paciuszkiewicza o innych. Znowu powraca pytanie, ale zadane inaczej, wyrażające troskę o tych, którzy „znikąd nie mają pomocy”.

Panowie, ale gdzież oni są? „Wyobrażam sobie od lat – mówi ojciec Mirosław – że dodatkowe szczęście w niebie będzie polegać na kontakcie z bliskimi, których kochaliśmy, którzy nas kochali. Mam jednak trudność, czy w pełni szczęśliwi mogą być ludzie, których ktoś bliski jest w piekle?”.

Chciałoby się na zakończenie powiedzieć: „Żegnaj, Mirku”, ale boję się, że możesz się obrazić za te słowa, a już na pewno zasmucić. Niech więc będzie tak: „Mirku, jak się masz?”, gdyż na to pozdrowienie-pytanie odpowiadać nie trzeba, wiadomo przecież, jak się ma ten, który już wie, gdzie jest Jest.

Post Scriptum

Sporo czasu minęło od śmierci o. Mirosława Paciuszkiewicza, ale z tego wcale nie wynika, że czas zatarł po nim wszelki ślad. Przeciwnie, „u-wydatnił” sens jego posługi, zwłaszcza zaangażowania po stronie żyjących w niesakramentalnych związkach małżeńskich. I jeśli dzisiaj potykamy się o nauczanie papieża Franciszka, zarówno odnośnie do pojmowania małżeństwa i rodziny, jak i wielu innych spraw, to dlatego, że w przeszłości niezbyt uważnie słuchaliśmy, nie zawaham się powiedzieć, proroków naszych czasów. Co gorsza, mieliśmy im za złe, że nie są wystarczająco katolicy i podważają tradycyjną, a więc z definicji pewną naukę Kościoła. A jednak, dzisiaj widzimy to wyraźniej, prawda była po ich stronie, w tym po stronie ojca Mirka.

Wierząc w obcowanie świętych, a więc w Kościół w który żyją również umarli, jestem pewien, że Mirek, bo tak go w zakoniu nazywali starzy i młodzi, cieszy się bardzo tym późnym owocowaniem swego posługiwania Ewangelią.

Sierpień 2020 roku

Tekst pierwotnie ukazał się w: „Tygodniku Powszechnym”, nr 36 z 5 września 2010.

O. WACŁAW OSZEJCA SJ – duszpasterz, teolog, publicysta, poeta. Autor wielu książek i publikacji, wierszy oraz tłumaczeń, duszpasterz osób chorych na stwardnienie rozsiane.

OJCIEC MIROŚLAW PACIUSZKIEWICZ SJ

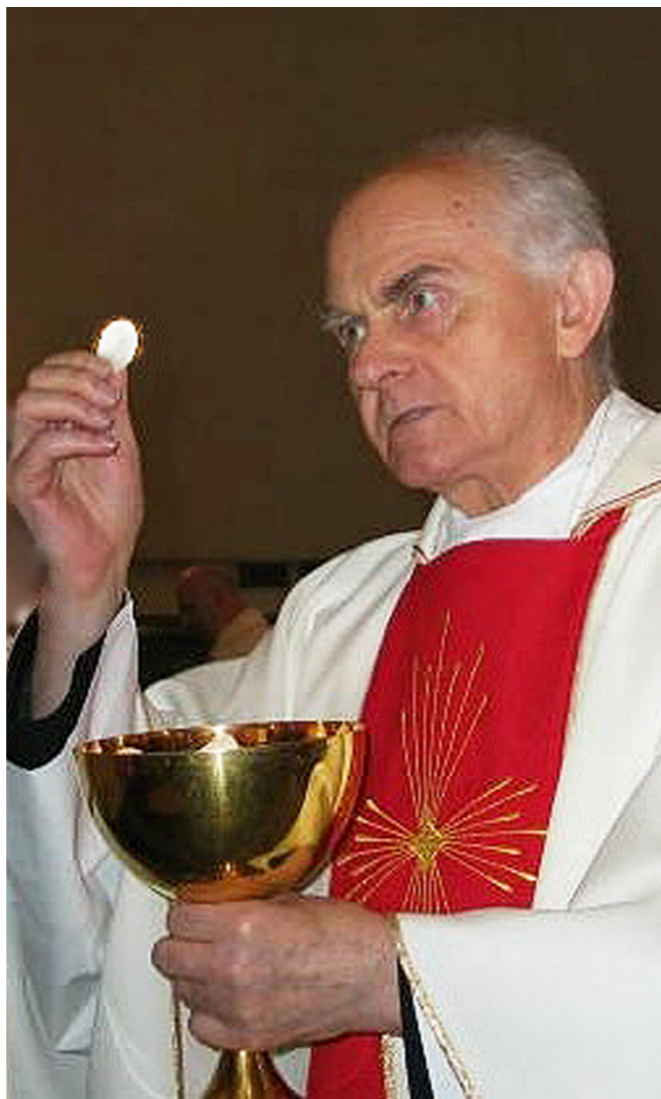
Gorliwy duszpasterz, czciciel patrona Polski, oddany przyjaciel

Bernard Gonska SJ

MIJA DZIESIĘĆ LAT OD ŚMIERCI O. MIROŚLAWA Paciuskiewicza SJ, a dwadzieścia od chwili, kiedy przestałem pełnić funkcję proboszcza parafii św. Andrzeja Boboli przy ul. Rakowieckiej 61 w Warszawie. Wracam wspomnieniami do mojego pierwszego spotkania z o. Mirosławem, a miało to miejsce w 1988 roku, gdy rozpoczynałem studia teologiczne na Wydziale Teologicznym Collegium Bobolanum. Do tego roku słyszałem tylko od współbraci, że zajmuje się on nowatorską, jak na tamte czasy, posługą duszpasterską, a mianowicie troską o osoby żyjące w związkach niesakramentalnych. Gdy zamieszkałem przy Rakowieckiej, poznałem go osobiście, gdyż już od dwóch lat był proboszczem oraz wykładowcą homiletyki na tamtejszym Wydziale Teologicznym.

Naszym głównym zadaniem – jako studentów teologii – była nauka. Z pracą parafialną nie mieliśmy wiele wspólnego. Codzienną Mszę św. mieliśmy w kaplicy domowej, a jedynie w niedziele i większe uroczystości uczestniczyliśmy w Mszach świętych oraz pełniliśmy posługę przy zbieraniu tacy i szafarzy Komunii Świętej w sanktuarium. Mimo licznych obowiązków w parafii, o. Mirosław znajdował czas, by być z całą wspólnotą na posiłkach czy rekreacji. Pewnego dnia podczas posiłku powiedział, że na Mszy św. niedzielnej, którą odprawiał o godz. 13.00, często nie ma żadnego ministranta, a w tym samym czasie my jedliśmy obiad. Ta uwaga zapadła mi w pamięć i często powracała jak bumerang. Po pewnym czasie podzieliłem się nią z moim o. duchownym, który poradził mi, żebym zapytał o. Mirosława, czy mogę mu służyć do Mszy św. o godz. 13.00. Ojciec Mirosław bardzo się z tej propozycji ucieszył. Od tego momentu poznawałem go coraz bardziej, stawał mi się bliższym. Zauważyłem, że każda homilia jest dokładnie przemyślana, logiczna i przekonująca. Bardzo często dzielił się w nich własnym doświadczeniem duchowym i duszpasterskim, stawiał pytania, nie udzielając uczestnikom liturgii odpowiedzi, jakby chciał ich „zmusić” do osobistych przemyśleń. Mówił powoli i czystą polszczyzną.

Gdy rozpoczynałem drugi rok studiów teologicznych zaproponował mi, abym przygotowywał młodzież do sakramentu bierzmowania. Odebrałem to jako wyraz zaufania o. Mirosława do mnie – powierzył mi tak wielką odpowiedzialność. Przełożeni wyrazili zgodę i przez dwa kolejne lata przygotowywałem do tego sakramentu cztery klasy ósmoklasistów. Chciałbym dodać, że o. Mirosław odznaczał się ogromnym taktem, kulturą osobistą i szacunkiem do drugiego człowieka. Zdarzało się, że nieraz zwierzał mi się z pewnych spraw, które go cieszą, ale też i boją. Wtedy dzwonił do mnie i zapraszał na rozmowę. Miałem wtedy dobrą okazję, aby poznać jego troskę o czasom drobne sprawy, ale też i te poważne. Nigdy nie słyszałem z jego ust wyrazów potępienia kogokolwiek czy wyrażania negatywnego osądu człowieka, choć obiektywnie miałyby do tego prawo,



zwłaszcza gdy spotykała go jakaś przykra sprawa. A takich też mu nie brakowało. Czego jeszcze nauczyłem się od o. Mirosława od strony duszpasterskiej? Bardzo odpowiedź nie podchodził do swoich obowiązków duszpasterskich. Gdy zbliżała się godzina otwarcia kancelarii parafialnej, o. Mirosław był tam punktualnie. Gdy miał swój dyżur spowiedniczy w kościele, zawsze przychodził przed rozpoczęciem Mszy św. i spowiadał tak długo, aż wypowiadał ostatnią osobę. Często siedział dłużej, bo do jego konfesjonału ustawiała się nieraz długa kolejka. Cieszył się wśród wiernych opinią cenionego spowiednika. Prowadził liczne rozmowy indywidualne w rozmównicy, w której często przebywał, gdyż petentów przybywało. Nie byli to tylko parafianie, ale warszawiacy i ludzie spoza stolicy.

Bardzo zależało o. Mirosławowi na szerzeniu kultu św. Andrzeja Boboli. Wtedy jeszcze nie było Stowarzyszenia Krzewienia Kultu Św. Andrzeja Boboli, ale w swoich homiliach często powracał on do tematyki patrona parafii i Polski. O ile dobrze pamiętam, pierwsza książka o św. Andrzeju Boboli, *Będę jej głównym patronem. O św. Andrzeju Bo-*

boli, której był współredaktorem, wyszła dopiero w 1995 roku, ale już w początkach proboszczowania przybliżał wiernym postaci św. Andrzeja Boboli w swoich homiliach. To właśnie w nich poruszał tematykę „andrzejową”, co rozbudzało we mnie osobiste zainteresowanie się Świętym, poznawanie jego życiorysu, przede wszystkim zacząłem się także do Niego modlić. Na osobiste zaangażowanie się w szerzenie kultu musiałem czekać jeszcze kilka lat. Po ukończeniu studiów teologicznych w Collegium Bobolanum i przyjęciu święceń diakonatu (29 czerwca 1991 r.), zostałem wysłany przez o. prowincjała na czteroletnie studia z teologii pastoralnej do Innsbrucka, które ukończyłem uzyskaniem doktoratu. Po powrocie do Polski (1995 r.) zostałem skierowany do Sanktuarium Św. Andrzeja Boboli i pełniłem tu funkcję wikariusza i katechety.

Gdy 3 września 1995 roku nastąpiły zmiany personalne w parafii, o. Mirosław informował o nich podczas wszystkich Mszy św. o godz. 13.00 nastąpiła zmiana proboszcza. Ks. Józef Hass, dziekan dekanatu mokotowskiego, odczytał dekret ks. prymasa Józefa Glempa, mianujący o. Tadeusza Filasa SJ nowym proboszczem, a ja zostałem wikariuszem. Przed końcowym błogosławieństwem o. Mirosław wygłosił „Słowo ustępującego proboszcza” (zob. „Biuletyn Sanktuarium Św. Andrzeja Boboli”, nr 10 (82) z października 1995). Wspomniał w nim o szerzeniu kultu św. Andrzeja Boboli i o swojej przyjaźni z nim („zaprzyjaźniliśmy się”), podziękował wszystkim, z którymi przez dziewięć lat bycia proboszczem współpracował oraz wspominał, że „są sprawy do dziś nie załatwione, które zostawiam swojemu następcy jako kłopotliwy spadek”. Spodziewałem się, że teraz zacznę wymieniać, co jeszcze zamierzał zrobić w parafii, a czego mi się nie udało zrealizować. Myślałem podobnie jak p. Jerzy Stadnicki, parafianin, który napisał list do redakcji „Biuletynu” (zob. s. 5). Ku naszemu zaskoczeniu o. Mirosław nic nie wspominał o remontach czy innych materialnych sprawach. Jego przesłanie miało charakter czysto duchowy, co świadczyło o jego głębokim zrozumieniu istoty posługi kapłana jako proboszcza. Oto fragment jego wypowiedzi: „Zwracam się do wszystkich osób uczestniczących w liturgii w tutejszym Sanktuarium z serdeczną prośbą o wielki szacunek dla Eucharystii, dla wspólnie sprawowanej Ofiary, a więc dla Mszy Świętej. Kto tylko może, komu sytuacja osobista czy rodzinna nie zagraża dostępu do Komunii Eucharystycznej, niech uczestniczy w niej w sposób pełny, właśnie z Komunią Świętą. Ale chodzi również o to, żeby uczestniczyć we Mszy Świętej od początku do końca. Z bólem przez miesiące i lata obserwowałem, jak dziesiątki osób przychodziły na Mszę Świętą po jej rozpoczęciu, nieraz nawet z piętnasto- i dwudziestominutowym opóźnieniem. Z bólem także patrzyłem na opuszczających zgromadzenie liturgiczne tuż po modlitwie, zwanej «Post Communio», gdy zaczynało czytać ogłoszenia. Nie byli oni zainteresowani tym, co się dzieje w parafii. Wychodzili przed rozesłaniem i bez końcowego błogosławieństwa, jakby nie było im ono potrzebne. Dzisiaj pragnę przypomnieć, że Msza Święta jest wydarzeniem ogromnym. Chrystus powtarza swoją Ofiarę z Wieczernika i Kalwarii. Jest Gospodarzem spotkania najczcigodniejszym ze wszystkich. Serdecznie proszę: nie lekceważmy Chrystusa, nie spóźniamy się na spotkania z Nim,

nie wychodzmy z nich bez Jego końcowego błogosławieństwa. Niech ten apel będzie duszpasterskim testamentem ustępującego dziś proboszcza”. Gdy rozpocząłem pracę w parafii jako wikariusz, o. Mirosław nieoczekiwanie zaproponował mi przejście na „ty”. Czuję się trochę niezręcznie, mając na uwadze jego zasługi dla parafii, w duszpasterstwie związków niesakramentalnych, o których mówiło się już wtedy bardzo głośno w polskim Kościele, oraz z tego tytułu, że dzieliła nas różnica wieku. Jednak przyjąłem jego propozycję i tylko w indywidualnych kontaktach i rozmowach zwracałem się do niego – Mirku. Po roku pracy w parafii zostałem posłany do Jastrzębiej Góry, by tam odbyć ostatni etap formacji zakonnej, zwany III probacją. Po jej zakończeniu (1997 r.) decyzją o. prowincjała zostałem skierowany ponownie na Rakowiecką, jednak tym razem jako proboszcz i wicedziekan dekanatu mokotowskiego. Po przejściu tego urzędu przeze mnie o. Mirosław nadal posługiwał w parafii, odprawiając Msze święte i posługując w konfesjonale. Pamiętam jego życzliwe słowa, które skierował do mnie, gdy zostałem proboszczem: „Pamiętaj, proboszczem jesteś z nominacji ks. prymasa, ale prawdziwym proboszczem jest tu św. Andrzej Bobola”. To był dla mnie konkretny bodziec, aby bardziej zaangażować się w szerzenie kultu św. Andrzeja Boboli. Później, gdy byłem proboszczem w parafii św. Andrzeja Boboli w Bydgoszczy (2003–2009) i od 2010 roku, jako asystent kościelny Oddziału Stowarzyszenia Krzewienia Kultu Św. Andrzeja Boboli w Szczecinie, sprawa kultu Patrona Polski jest dla mnie bardzo ważna.

Wiedziałem, że o. Mirosław bacznie obserwuje moją posługę, dlatego też często chętnie korzystałem z jego pomocy i rady, gdy planowałem podejmować jakieś inicjatywy duszpasterskie. Zawsze uważnie wysłuchiwał i wyrażał swoją opinię, zostawiając mi przestrzeń do podjęcia osobistej decyzji. Jeśli miał jakieś uwagi, dzielił się nimi, co mi bardzo pomagało i świadczyło o tym, że o. Mirosław nadal żył tym, co się dzieje w parafii. Pamiętam, jak w którąś niedzielę poprosił mnie o spotkanie. Gdy byłem u niego w pokoju, wziął do ręki niedzielne „ogłoszenia duszpasterskie” i zwrócił mi uwagę, w jaki sposób należy poprawnie formułować treść ogłoszenia. Do dziś pamiętam zasadę, którą mi przekazał: „Informację należy umieszczać według zasady: co? gdzie? kiedy?” Ufałem mu, gdyż był po studiach filologii polskiej na KUL-u. Kiedy w 2000 roku przestałem pełnić funkcję proboszcza przy Rakowieckiej, a kontakt z o. Mirosławem stał się rzadki, ale nie ustał do końca, gdyż z uwagą czytałem jego publikacje o św. Andrzeju Boboli i o duszpasterstwie związków niesakramentalnych. Pomogły mi one w szerzeniu kultu Patrona Polski i w zainicjowaniu duszpasterstwa związków niesakramentalnych w Szczecinie, które prowadziłem przez trzy lata. Kiedy dowiedziałem się o początkach choroby o. Mirosława, otaczałem go szczególną modlitwą, polecając go „prawdziwemu proboszczowi” – św. Andrzeju Boboli.

O. BERNARD GONSKA SJ – jezuita ze Szczecina, kościelny asystent Oddziału Zachodniopomorskiego SKKAB-u, duszpasterz w parafii i katecheta, był proboszczem w Sanktuarium Św. Andrzeja Boboli w Warszawie oraz w parafii pw. św. Andrzeja Boboli w Bydgoszczy.

SPOTKANIA JAK ROZMOWY NIEDOKOŃCZONE

Wspomnienie o Ojcu Mirosławie Paciuszkiewiczu

Ryszard Szymański

Moimi przyjaciółmi byli wszyscy ludzie, których Pan Bóg postawił na mojej drodze.

o. Mirosław Paciuszkiewicz SJ

MOJA „PRZYJAŹŃ” z ks. MIROSLAWEM PACIUSZKIEWICZEM SJ właściwie rozpoczęła się na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, potem nasze drogi na długo się rozeszły, by na koniec zejść się ponownie w krótkim czasie od stycznia do września 2010 roku. W obu przypadkach, pisząc o relacjach z tym nietuzinkowym kapłanem i człowiekiem, mam na myśli nie tylko jednostkowe zdarzenia, dzięki którym dane nam było przebywać ze sobą w tym samym miejscu i czasie, ale przede wszystkim bardzo osobliwą więź duchową, jaką potrafił momentalnie stworzyć o. Mirosław z drugim człowiekiem.

Historia naszej krótkiej i nietypowej znajomości, zarówno tej młodzieńczej (tu mam na myśli siebie, bo dzieliła nas „spora” różnica wieku), jak i dojrzałej, dla wielu ludzi może być przykładem typowego zbiegu okoliczności, w którym nie ma nic dziwnego i nadzwyczajnego. Dla mnie jednak stanowi kolejny fenomen niewidzialnej ręki Pana Boga, który w labiryncie życiowych ścieżek jednym pomaga się odnaleźć, innym nie przeszkadza się zgubić, wiedząc oczywiście – w przeciwieństwie do nas – że oba przypadki mają swój jednakowo głęboki sens. Mnie, po prawie czterdziestoletniej przerwie, dał radosną możliwość odnowienia znajomości z duchownym, którego po raz pierwszy poznałem w czasach swego dzieciństwa i wczesnej młodości w Rościszewie – naszej rodzinnej miejscowości położonej na północno-zachodnim Mazowszu, ponad sto dwadzieścia kilometrów od stolicy i Sanktuarium św. Andrzeja Boboli.

Między granicznymi datami tych spotkań była długa pustka i przerwa – zupełnie nic, tak jakby życiem kierowały przypadek i ślepy traf, dla których ludzkie więzi są zupełnie bez znaczenia. Dla kogoś postronnego nasze kontakty mogły więc przypominać bardziej dwa odległe w czasie i niewiele znaczące epizody niż relacje zażyłe i głębokie. Mogły nas przecież dzielić – chociażby z uwagi na różnicę wieku – inne doświadczenia i różne poglądy. Pan Bóg jednak sprawił, że było odwrotnie – dziś myślę, że chociaż na chwilę i na sam koniec odczuwaliśmy to, co można nazwać bliskością nieoczekiwanej przyjaźni i obaj wiedzieliśmy, że nie było w tym żadnego przypadku.

Nie wszyscy mają takie szczęście! Nie zawsze tak można! Ta świadomość często towarzyszy mi dzisiaj, bo chociaż od śmierci kapłana mijają kolejne lata, biegnąc szybko w stronę okrągłej dziesiątej rocznicy, to on wciąż żywy, tak samo zawsze mądrze uśmiechnięty, a jednocześnie zamyślony, pojawia się w różnych niespodziewanych momentach

mojego życia i, jak w rozmowach niedokończonych, mówi mi to, czego nie zdążył powiedzieć wcześniej. Potem człowiek może tylko z większą pokorą patrzeć na Boga, na świat, na drugiego człowieka i samego siebie. Ojciec Mirek zgodziłby się z pewnością ze mną, że w kontekście ludzkich relacji, o których piszę, nie chodzi wcale o ilość i częstotliwość, tylko o jakość, czyli to, co zostaje na długo potem...

Może trochę na przekór i niechronologicznie swoje wspomnienie zaczął jednak od końca, czyli od niecodziennych okoliczności, które doprowadziły do naszego nieoczekiwanego spotkania po latach – w momencie, kiedy, prawdę mówiąc, właściwie nie znaliśmy się lub zapomnieliśmy o sobie, nie mając pojęcia, że Pan Bóg może w jednej chwili wszystko zmienić.

Późną jesienią 2009 roku świadomość cyklicznych wyjazdów do stolicy (w soboty i niedziele), oprócz nadziei na udane studia córki na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej, nie napawała mnie jakimś zbytnim entuzjazmem. W prawie każdy weekend stawialiśmy się od rana na Mokotowie – Ela na zajęcia do szkoły rysunku mieszczącej się w gimnazjum przy Narbutta, ja na parking przed budynkiem. Cztery godziny oczekiwania, a potem żmudny powrót do domu. Co robić przez tyle czasu? Zrobiłem to, co wydało mi się oczywiste. Postanowiłem poznać Stary Mokotów. Spacerować jeszcze nikomu nie zaszkodziły.

W ten sposób po jednej z pierwszych, zaledwie kilkuminutowych przechadzek trafiłem do Sanktuarium św. Andrzeja Boboli przy Rakowieckiej. Wchodząc na teren okazałej świątyni, miałem tylko zamiar skorzystać z niedzielnej Mszy św., która, zgodnie z widocznym porządkiem na tablicy ogłoszeń, rozpoczynała się za kilkanaście minut. Choć chwilę wcześniej byłem mile zaskoczony jakością kawy i słodczy w parafialnej kawiarence, nie spodziewałem się nadto żadnych innych niespodzianek, tym bardziej dotyczących moich osobistych doświadczeń i przeżyć sprzed wielu lat. W tym miejscu mogę jednak przyznać rację starej, mądrej sentencji – *Nigdy nie wiesz, co może ci przynieść każda następna chwila życia.*

Zadowolony z udziału w nabożeństwie, już miałem wychodzić z kościoła, gdy stało się coś niespodziewanego. Otóż ojciec jezuita czytający ogłoszenia na najbliższy tydzień, zapowiadając między innymi czwartkowe spotkanie ze znaną poetką, powiedział coś, co wstrzymało mój oddech i przywołało dawno wygaszoną rzeczywistość. Usłyszałem bowiem, że miał je poprowadzić nie kto inny, tylko emerytowany proboszcz tutejszej parafii o. Mirosław Paciuszkiewicz. Siedząc dłużej niż trzeba w ławce wśród kilku ostatnich podstarzałych warszawiaków, z niedowierzaniem pytałem w myślach – czy to dzieje się naprawdę? Czy to możliwe? Czy to „mój dawny” ks. Mirosław Paciuszkiewicz?

Dawny, to znaczy ten sprzed prawie czterdziestu lat, zapamiętany z rościszewskiego kościoła parafialnego pod wezwaniem św. Józefa. Tam właśnie po raz pierwszy zobaczyłem go przy ołtarzu i od tej pory nie mogłem pominąć żadnej okazji, by służyć do Mszy św. w czasie jego obecności. Od mojej babci, która była przyjaciółką p. Jadwigi, mamy ks. Mirka, wiedziałem zawsze wcześniej, kiedy przyjeżdża na krótki, zwykle wakacyjny urlop do Rościszewa, by spędzić trochę czasu z rodzicami i rodziną, a jednocześnie napełnić cudownym tembrem swego głosu wnętrze naszego kościoła i zwać gromadkę ministrantów na codzienne nabożeństwo. Trzeba pamiętać, że na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych wiadomość o przyjeździe z KUL-u już wtedy cenionego i zasłużonego księdza była w małej miejscowości czymś wręcz wyjątkowym i niezwykłym, co urastało do rangi dzisiejszego „newsa” czy „eventu”.

Już wtedy czuło się charyzmę o. Mirka. Wbrew powszechnemu zwyczajowi, gdy mówił do wiernych, nie korzystał z amboni, tylko wychodził przed ołtarz, stawał na najniższym schodku i utrzymywał bliski kontakt wzrokowy z ludźmi, jeszcze przed kazaniem obdarzając wszystkich spokojem i ufnością, jakie były z jego oczu i wyrazu twarzy. Przede wszystkim jednak z homiletyki (nawet na krótkiej, porannej Mszy św. zwracał się w kilku zdaniach do garstki ludzi) czynił specyficzny rodzaj duchowego *katharsis*, dzięki czemu dla wszystkich słuchających kapłana świat wydawał się potem lepszy i piękniejszy. Sposób, w jaki ksiądz zwracał się do wiernych, był zawsze niezwykle pewny i spokojny – niezależnie od tego, czy jego adresatem były tylko jednostki, czy też tłum wiernych w trakcie niedzielnej Eucharystii. Jeśli ktoś słuchał jego głosu wielokrotnie, doskonale wie, że był on wyjątkowy, dla mnie, niezależnie od semantyki słów i kolejnych kwestii, posiadał dodatkowy wymiar werbalny – głęboko przenikając do sedna naszej duchowości, dając potrzebne ciepło, światło, ufność, a w dalszej perspektywie radość i nadzieję.

W pewnym stopniu był to również dobroczynny wpływ na świadomość wiejskich chłopaków służących do Mszy św., którym słowa mądrego kapłana pomagały właściwie zdiagnozować ówczesny komunistyczny bełkot, uczyły odróżniać dobro od zła, otwierały okno na świat i motywowały do budowania życia na wartościach dekalogu. Nawet taki mały człowiek rozumiał na długo potem, co to jest dobro i miłość. Wstydział się, jeśli coś w tym względzie spała i starał się jak najszybciej wszystko naprawić.

Po Mszy św. kapłan miał dla najwytrwalszych przy ołtarzu zawsze chwilę czasu, by nagrodzić posługę Bogu pochwałą i uśmiechem, a także dowartościować krótką rozmową czy pamiątkowym obrazkiem. Do dziś pamiętam zdjęcie pięknego aniołka, którego otrzymałem po którejś z porannych Mszy św. razem ze słowną, żartobliwą zachętą, że aniołkiem można i trzeba być przecież w codziennym życiu, a nie tylko w kościele.

Choć dzieliła nas różnica trzydziestu lat, dla mnie te krótkie rozmowy były o tyle łatwiejsze i miłsze, że znałem dobrze całą rodzinę duchownego – brat Andrzej Paciuszkiewicz współpracował przez wiele lat z moją mamą w miejscowej gminnej spółdzielni, a rodziców o. Mirosława – Elżbietę i Franciszka – widywałem codziennie, ponieważ rościszewska szkoła podstawowa sąsiadowała zarówno z rodzinnym

domem Państwa Paciuszkiewiczów, jak i zakładem pracy, którym kierował wówczas ojciec kapłana, słynący w całym regionie sierpeckim ze sztuki wędliniarskiej. Pani Jadwiga gościła też często w naszym domu, będąc jedną z najbliższych koleżanek, a jednocześnie klientek mojej babci Stasi, która z racji umiejętności krawieckich obszywała połowę miejscowych klientów, w tym całą zaprzyjaźnioną rodzinę Paciuszkiewiczów.

Jedno z ostatnich spotkań z okresu końca lat siedemdziesiątych miało miejsce w autobusie, którym wspólnie wyjeżdżaliśmy z Rościszewa – ja do sierpeckiego liceum, a ksiądz Mirosław do swojej duszpasterskiej pracy w Lublinie. Gdy wychodziłem z autobusu na dworcu w Sierpcu, spojrział na mnie przenikliwym, ale niezwykle przyjaznym wzrokiem i powiedział: „Do zobaczenia, mój drogi!”

Z pewnością nie przeczuwaliśmy, że Pan Bóg da się nam ponownie spotkać dopiero po ponad trzech dekadach. W tym czasie przemierzaliśmy dwie zupełnie odległe od siebie drogi i realizowaliśmy różne życiowe cele. Może to było właśnie nam potrzebne, aby w czasie ostatnich spotkań po latach nie powielić kolejnej kurtuazyjnej wymiany zdań, uścisków dłoni i po paru minutach nie popłynąć znowu w swoje strony...

Kolejne dni przed następnym wyjazdem do stolicy upływały mi pod znakiem niepewności i nadziei na to, że będę miał okazję przypomnieć się o. Mirkowi, a może przy okazji poopowiadać mu również o tym, co zmieniło się w jego rodzinnych stronach i jego parafii. Niepewność podpowiadała również, że może w ogóle życie napisze swój własny, zupełnie inny scenariusz tego spotkania.

O ile dobrze pamiętam, pierwsza wizyta w Collegium Bobolanum nie przyniosła oczekiwanego efektu i w ogóle nie była zbyt radosna. Dyżurujący przy telefonie o. jezuita poinformował mnie, że i owszem o. Mirosław Paciuszkiewicz, emerytowany proboszcz parafii św. Andrzeja Boboli mieszka w pokoju nr 248, ale, niestety, przebywa w szpitalu na obserwacji po niedawnym dość niebezpiecznym upadku. Powiedział, abym uzbroił się w cierpliwość i zadzwonił za kilka dni. Chcąc nie chcąc, musiałem znowu czekać. Ale w końcu się doczekałem.

Przy następnej wizycie w stolicy, wybierając sobotniego przedpołudnia numer telefonu i przedstawiając się z imienia i nazwiska, z radością usłyszałem po chwili prawie ten sam, niezmienny przez upływ czasu, rozemocjonowany i lekko podniecony głos: „Z Rościszewa? Szymański? Ależ oczywiście! Kojarzę nazwisko! Wiem, wiem, zaraz schodzę i otwieram!”. Od początku wiedziałem, że będę mile widzianym gościem, a po dłuższej chwili, kiedy zobaczyłem w drzwiach postać o. Mirosława, miałem pewność, że nie skończy się na jednym ogólnikowym spotkaniu. Radosne ogniki w oczach, empatia i życzliwość każdego gestu z obu stron mówiły o tym same przez się, chociaż w tle szybko pojawiło się też pewne „ale”, coś „nie tak”.

Krótką drogą do pokoju była okazją do pierwszych obserwacji i wrażeń. Życie i upływ lat, ale przede wszystkim ostatni pobyt księdza w szpitalu uświadomiły mi od razu, że stoję w obliczu ciężko chorego kapłana, choć oprócz śladów pozostałych na twarzy po ostatnim potłuczeniu, wyglądał raczej tak, że poznałbym go bez żadnych problemów

w każdej innej sytuacji. Panując siłą woli nad ułomnościami swego stanu, wpatrywał się we mnie z ogromnym zainteresowaniem: „No wie pan, wszystkiego bym się spodziewał, ale takiej miłej niespodzianki to raczej nie!” – mówił poruszony, prowadząc do swego małego mieszkanka.

Ludzie, którym dane było poznać o Mirka, wiedzą, że u schyłku swego życia nie lubił przejmować się niedoskonałością swej kondycji fizycznej, podkreślając za każdym razem, że w zamian dopisuje mu, jak mało kiedy, aktywność i sprawność duchowa. Dlatego też, pewnie jak wielu jego przyjaciół, wchodząc do środka, usłyszałem na wstępie, że w swoim pokoju już dawno zrobił najważniejsze porządki, zostawiając jedynie najniezbędniejsze sprzęty potrzebne do życia.

Rzeczywiście, tak to wyglądało, jakby właściciel miał się zamiar gdzieś wyprowadzić. Nad niewielką liczbą książek pozostawionych na półkach regału wyraźnie górowały okazałe sterty egzemplarzy wybranych przez kapłana dla kolejnych beneficjentów. Poza tym proste, niezbędne sprzęty codziennego użytku, a wśród nich rzucający się w oczy jedyny techniczny „luksus” – sprzęt do nagrywania głosu, jak żartowaliśmy potem, bardziej potrzebny i cenny od noża i widelca.

Szybko zauważyłem, że tzw. życiowe gadżety były przez księdza traktowane z przymrużeniem oka, jak zło konieczne i zupełnie nieistotne. Przy każdej okazji z właściwym dla siebie poczuciem humoru dodawał, że w chwili obecnej coraz bardziej mu przeszkadzają, bowiem na drodze, po której już stąpa, ich posiadanie nie ma absolutnie żadnego znaczenia. Każdym słowem, każdą kwestią dawał odczuć, że duchowo jest o wiele bardziej w innym świecie, dostrzegając coraz częściej światło na drugim brzegu. W tym stanie duchowym pewnie nie przypuszczał, że może zdarzyć się coś, co obudzi i przywoła nostalgiczne wspomnienia bliskich i przyjaciół, radość powrotu do źródeł, spotkań i zdarzeń lekko przesłoniętych mgiełką czasu i rozłąki.

W sposób niezamierzony – ale jednak – reakcja o Mirka na wspomnienie „małej ojczyzny” przypominała jak żywo reakcje Sienkiewiczowskiego Latarnika. Radość i wzruszenie w czasie pierwszej, prawie trzygodzinnej rozmowy o Rościszewie, o przeżyciach z lat szkolnych i młodości kapłana, o kolegach ze szkolnej ławy i znajomych, zainteresowanie pismami, artykułami i zdjęciami, które przywoziłem ze sobą, były ogromne. Pytania i dygresje płynęły jedne za drugimi. Ale pomimo fascynacji przeszłością, zadziwiająca była też energia kapłana skierowana na przyszłość. To już nie były tylko radosne uczucia i emocje, ale też konkretne pomysły, plany i zamierzenia dotyczące ciekawych inicjatyw na rzecz rodzinnego Rościszewa i tamtejszej parafii, o których wtedy długo rozmawialiśmy. Sam o Mirek zdążył krótko opisać i potwierdzić treść naszych rozmów w swych ostatnich opublikowanych zapiskach (*Drobiazgi pisane prozą*, Warszawa 2011, s. 110–113).

Mój „Latarnik” był cały czas głęboko poruszony, bo na hasło „Rościszewo” odżył cały świat młodości, domu rodzinnego, bliskich i przyjaciół, z którymi rozstał się dawno temu, a upływ czasu zrobił swoje – zatarł nieco twarze ludzi, zniekształcił chronologię zdarzeń. Ja zaś miałem wielką satysfakcję, bo na miarę możliwości mogłem te obrazy i postacie przypominać i poskładać, opowiadając nie tylko o dość odległej przeszłości, ale też o współczesnym

obliczu rodzinnych stron i ich mieszkańców. Tak było między innymi z motywem pobytu Chopina w Rościszewie, o którym pisałem w samorządowej gazecie i o działaniach związanych z budowaniem tradycji chopinowskiej w postaci koncertów i miejsca pamięci. O Mirek z radością czytał moje wiersze, scenariusze uroczystości, materiały promocyjne. Cieszył się jak dziecko, że w gminie i parafii tyle się dzieje dobrego. Sam natychmiast dorzucił pomysł stworzenia oddziału Przymierza Rodzin w swojej miejscowości, planował spotkania, wyznaczał zadania mnie, bratu Andrzejowi, a także Panu Adamowi Pietrzakowi, o którym usłyszałem mnóstwo ciepłych słów.

Za każdym razem przywoziłem do Warszawy jakieś fotografie znajomych osób i miejsc, artykuły i publikacje prasowe, a także ciekawostki i wspomnienia osób bliskich kapłanowi. Jedną z takich przywołanych przeze mnie postaci była żyjąca do dziś moja polonistka i wychowawczyni z liceum, profesor Antonina Girszewska z Sierpca, która znała o Mirka osobiście z racji tego, że była jego koleżanką z lat gimnazjalnych, a jej brat Eugeniusz siedział z o. Mirkiem w jednej ławie, stąd też bardzo często wszyscy spotykali się w domu Girszewskich po lekcjach, z pasją i humorem rozprawiając na wszelkie tematy. W swoich wspomnieniach niezwykle ciepło opowiadała o wspólnych latach szkolnych, a na dodatek pamiętała o nieoczekiwanym spotkaniu z o. Mirkiem, do którego doszło pod koniec lat dziewięćdziesiątych w sierpeckiej bibliotece przy okazji jego prelekcji popularyzującej twórczość o. Wacława Osajcy. Ojciec Mirek po oficjalnym wykładzie spotkał się ze swoją koleżanką i z wielką estymą wspominał młodzieńcze lata, na zakończenie wpisując miłą dedykację do okolicznościowej książki подарowanej siostrze serdecznego kolegi.

Słuchając tych historii ze swego życia, kapłan z uśmiechem podkreślał, że spotkał na swej drodze ogrom ludzi o niezwykłych doświadczeniach i to był największy dar od Boga, jaki mógł otrzymać. Na tym materiale, na tej chrześcijańskiej i humanistycznej opoce człowieczeństwa budował właśnie swe kapłańskie relacje z drugim człowiekiem, nikogo z góry nie odrzucając i nie deprecjonując, co najwyżej potrafiąc się pięknie różnić.

Niestety, mam do siebie żal, bo wbrew sentencji ks. Jana Twardowskiego („Spieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą”) nie spieszyłem się dostatecznie, nie zdążyłem, nie skończyłem, a przede wszystkim nie przewidziałem, że czasu mieliśmy tak niewiele. Zresztą o. Paciuszkiewicz nigdy nie skarżył się, nic nie sugerował i nie dawał do zrozumienia, że to już, być może, nasz ostatni raz. Siedząc w fotelu, w trakcie uważnej lektury artykułu o rościszewskich spotkaniach chopinowskich z lekkim uśmiechem podkreślał tylko, że w swojej sytuacji doskonale pojmuje głęboki sens myśli Schumana o tym, że dusza Chopina po jego śmierci przeleciała nad światem. Mówił mi już wtedy, że jeszcze za życia Pan Bóg dał mu wielokrotnie doświadczyć czegoś bardzo podobnego.

Czas, jaki był nam dany, skończył się równie nieoczekiwanie, jak nieoczekiwanie się rozpoczął. Czerwiec 2010 roku oznaczał koniec lekcji rysunku mojej córki oraz letnią przerwę. Umówiliśmy się z o. Mirkiem, że wakacje miały być czasem na uporządkowanie naszych planów, a jesień po-

czątkiem ich realizacji. Rozstawaliśmy się w dobrych nastrojach. Wychodząc z zakonnej stołówki, bo nieodłącznym elementem niedzielnych wizyt było zaproszenie na wspólny obiad, po raz ostatni uściśnięciem dłoń mojego kapłana i po raz ostatni widziałem go na tym świecie. Pod koniec lipca albo na początku sierpnia po raz ostatni rozmawiałem z nim telefonicznie. Niczego nie przeczuwając, chciałem się upewnić, że nasze plany są wciąż aktualne. W odpowiedzi usłyszałem, że owszem – „są jak najbardziej aktualne, ale, jak zawsze, wszystko w rękach Opatrzności”. Konkrety mieliśmy ustalić na pierwszym spotkaniu po rozpoczęciu się kolejnego roku szkoły rysunku, to znaczy na przełomie września i października 2010 roku. Jak się okazało, na to było już jednak za późno.

Na początku września pracy organizacyjnej w szkole jest co niemiara, więc nie miałem dużo czasu, aby w pełni monitorować internetowe informacje. Trochę mnie jednak dziwiło, że o. Mirek, któremu dałem numer swojego telefonu, sam nie zadzwonił, ale złożyłem to na karb spotkania, do którego zostały dwa, trzy tygodnie. Sam zresztą szykowałem się, by zadzwonić i przypomnieć o tym, co mieliśmy do zrobienia. Zamarłem więc kompletnie z wrażenia, gdy pod koniec września, przeglądając internetowe strony informacyjne, przeczytałem wiadomość o śmierci duchownego i jego pogrzebie. Mój odnaleziony po latach cudowny kapłan, ale też mądry i wrażliwy człowiek, mój autorytet od czasów młodości, zmarł 3 września – dokładnie w dzień moich urodzin.

Została cisza, pustka i wiele pytań bez odpowiedzi. Pozostaje też pokora wobec woli Bożej, która w tak samo znamienny sposób połączyła nasze ścieżki, jak i je rozdzieliła. Słowo „rozdzieliła” nie jest wszakże słowem nazbyt trafnym i właściwym, bo przecież wszystko, co zaistniało w wymiarze duchowym, istnieje nadal – chociażby dlatego że Stwórca dał nam język i pamięć. Jedno i drugie łączy ludzi i daje o nich świadectwo niezależnie od bariery życia i śmierci.

Ojciec Mirosław potrafił w szczególny dla siebie sposób korzystać ze wspomnianych darów, nawet wtedy, gdy odchodził z tego świata, leżąc na szpitalnym łóżku. O ostatnich chwilach życia duchownego dowiedziałem się z bezpośrednich rozmów z panem Andrzejem Paciuszkiewiczem, do których doszło potem dwukrotnie w Sierpcu. Dowiedziałem się, że w szpitalu na krótko przed śmiercią kapłan cichym głosem poprosił, aby brat w jego imieniu pożegnał wszystkich przyjaciół. Jednocześnie z lekkim uśmiechem, jeszcze ciszej, dokończył: „Tylko pamiętaj. Moimi przyjaciółmi byli wszyscy ludzie, których Pan Bóg postawił na mojej drodze!”. Patrząc przy tym na niego w jakiś szczególny sposób, jakby chcąc mieć pewność, że nie zapomni o nikim.

Czas mija szybko. Od opisanych zdarzeń minęło już prawie dziesięć lat, ale one wciąż żyją we mnie, nie dają mi spokoju, ciągle czegoś uczą. Próbuję je cały czas analizować, interpretować i – jak rozmowy niedokończone – prowadzić nadal, choć teraz zgoła inaczej. I to jest właśnie jeden z fenomenów naszej wiary, która ostatecznie niczego nie zamyka i nie kończy. Pozostaje tylko z pokorą i skromnością podziękować za to Panu Bogu. W świetle mych doświadczeń i tego wspomnienia podziękować przede wszystkim za szczęście spotkania na swojej drodze takiego kapłana i człowieka, jakim był o. Mirosław Paciuszkiewicz.

MOJE REMINISCENCJE O OJCU MIROSLAWIE PACIUSZKIEWICZU

Anna Koziół

KIEDY MAŁY CZŁOWIEK MA TRZY LATKA, ZACZYNA POZNAWAĆ i definiować świat. Tak się złożyło, że właśnie kiedy miałam trzy latka, ojciec Mirosław Paciuszkiewicz został proboszczem Sanktuarium św. Andrzeja Boboli. Mogę powiedzieć, że to on właśnie ukształtował we mnie pierwszy obraz Kościoła jako wspólnoty parafialnej i pomógł mi stawiać pierwsze kroki w wierze. Chciałabym się podzielić dwoma wspomnieniami związanymi z Ojcem.

Z dzieciństwa wyniosłam wspomnienie o tym, że Kościół był zawsze otwarty (zresztą tak jest do dziś). Moi bracia udzielali się w oazie. Pamiętam, jak ze starszym bratem za rękę chodziłam oglądać ogłoszenia duszpasterskie dla młodzieży, wywieszane w gablocie Domu Parafialnego. Tyle się działo... Z mamą zaś często spacerowałyśmy po ogrodzie na tyłach kościoła. Uwielbiałam oglądać rybki pływające w oczku wodnym i wachać kwiaty kwitnące na wypielęgnowanych grządkach. Raz po raz w ogrodzie spotykałyśmy spacerujących i modlących się jezuitów, w tym ojca Paciuszkiewicza. Bardzo dobrze pamiętam tę atmosferę, którą dziś – jako osoba dorosła – nazwałabym „przenikaniem się stanów”. Jako mały brzdąc czułam w tym ogrodzie, że my, świeccy, i oni, duchowni, z ojcem Paciuszkiewiczem na czele, stanowimy jedną wspólnotę.

Kolejne wspomnienie dotyczy mojej Pierwszej Komunii Świętej. Był to rok 1993, według moich obliczeń siódmym rok probostwa ojca Paciuszkiewicza. Niejeden kapłan po siedmiu latach tak ciężkiej posługi mógłby już być zmęczony, wypalony. Ojca zapamiętałam zupełnie inaczej. Tuż przed uroczystością, kiedy ustawialiśmy się przed Kościołem, ojciec przyszedł do nas i charakterystycznym, pełnym spokoju głosem zwrócił się do nas: „Witajcie kochane dzieci”. W słowie „kochane” naprawdę słychać było jego miłość i troskę. O „najważniejszym dniu w naszym życiu” mówił w taki sposób, że słuchaliśmy z zapartym tchem, przy czym jego słowa nie miały nic wspólnego z pustymi frazesami, każde brzmiało tak, jakby było testamentem jego życia.

Dziękuję Bogu za tak mądrego kapłana, który pokazał mi piękny, żywy Kościół przepełniony Duchem Bożym.

ANNA KOZIÓŁ – parafianka od urodzenia. W młodości członkini wspólnoty Ruchu Światło-Życie „Manresa”. Szczęśliwa żona i mama, nauczycielka. Obecnie wraz z mężem odpowiedzialna za Wspólnotę Małżeństw.

RÓŻANIEC ŚPIEWANY W SANKTUARIUM ŚW. ANDRZEJA BOBOLI. TAJEMNICE ŚWIATŁA

Roman Groszewski SJ

CHRZEST W JORDANIE

Pokora Boga

MIEJSCE, W KTÓRYM JAN CHRZCIŁ, ZNAJDOWAŁO SIĘ nad Jordanem na wysokości Jerycha, już kilkanaście kilometrów dalej rzeka wpada do morza Martwego. To miejsce symboliczne, tu Izraelici wkroczyli do Ziemi Obiecanej. To miejsce jest jednym z najniższych położonych na świecie. To największa depresja świata, niżej nie da się zstąpić. Nawet nazwa rzeki Jordan oznacza „tego, który zstępował”. Tu Jezus przyjmuje chrzest nawrócenia – choć go zupełnie nie potrzebuje, jest czysty. Uniża się, choć nie musi, uniża się – pokorny Bóg, który chce być blisko człowieka, blisko jego słabości. Solidarny z kondycją człowieka. Jan Chrzciciel to wie i drży przed tym, co ma się dokonać. Poruszony pokorą Boga – jest Mu posłuszny, a Bóg jest posłuszny jemu, Bóg oddaje się człowiekowi i już zawsze tak będzie, zawsze będzie wydawał się w nasze ręce. Aż po krzyż.

To miejsce jest symboliczne, w sensie geograficznym oznacza pokorę, ale też wejście w słabość – konfrontację z nią, a w sensie historycznym jest początkiem wypełniania się obietnicy o zdobyciu Ziemi Obiecanej, początkiem zmiany i rozpoczęciem nowego życia. Jezus pokazuje nam w ten sposób: „Zobacz, w tym nie ma nic strasznego, możesz być słaby, możesz być grzeszny, możesz przyznać się do porażki”. Początkiem nawrócenia, zmiany jest uniesienie się, zejście z tronu, że sam sobie ze wszystkim dam radę, sięgnięcie po pomoc miłosierdzia. Wtedy niebo się otwiera i Bóg wyznaje nam miłość. Kiedy wyznajemy grzechy, Bóg nie sędzi nas, nie karze gniewem, nie strzela focha. Kiedy wyznajemy nasze słabości, Bóg mówi: „Jesteś moim synem, jesteś moją córką i jestem w tobie zakochany”.

CUD W KANIE

Bóg przyjemności

Pierwszy cud, którego Jezus dokonuje w Kanie Galilejskiej, to cud przyjemności. Nasz religijny sposób myślenia mocno wyparł przyjemność z życia duchowego. Wyparta z religii seksualność zaowocowała zubożeniem przeżywania pełni człowieczeństwa także w wymiarze doświadczania przyjemności w relacji z Bogiem. To, co przyjemne, jest utożsamiane z grzesznym, a na pewno jest co najmniej podejrzane. Stągwie kamienne służyły do rytualnych oczyszczeń, czegoś na podobieństwo spowiedzi, obmywano się w nich z grzechów. Brak wina oznacza w tej historii wyczerpanie się starego modelu religijności opartej na nieustannym obwinianiu się za popełnione winy i ciągłych próbach oczyszczania się.

Nowe wino, to Nowe Przymierze, Nowy Testament – nowe przyniesione nam przez Jezusa objawienie Dobrej Nowiny – Ewangelii. Wino pojawia się w starych stą-



gwiach, w tym, co stare, jest zupełnie nowa treść. Jest wino oznaczające miłość, radość i pasję. Tym jest nowy model relacji z Bogiem – jest samym życiem i miłością. To jest coś, co jest przyjemne, co daje radość i smak, i dużo tańca. Bóg mówi do nas o relacji z sobą obrazem zakochanych w sobie ludzi, oblubienca i oblubienicy, lub nie używając kościelnych frazesów, Bóg mówi do nas o relacji z sobą obrazem kochanków i ludzi na najlepszej imprezie, gdzie wino leje się dosłownie strumieniami i jest go więcej, niż możemy wypić. Łaski jest więcej, niż możemy przyjąć, miłosierdzia jest więcej, niż jesteśmy w stanie skorzystać. To jest właśnie Godzina Jezusa, Godzina Krzyża, Jezus poślubia nas na drzewie, zaślubiny są w ogrodzie – obicie płynie woda i krew – Nowe przymierze. Jezusowe wino, czyli miłość, jest lepsze. Bóg – stwórca przyjemności.

GŁOSZENIE KRÓLESTWA

Wędrujący Bóg

Do uczniów i tłumu trzeba mieć anielską cierpliwość – nic nie rozumieją. Jak bardzo inna jest logika Boga, który wędruje po tej ziemi i naucza. Mówi rzeczy jakby z kosmosu. Skąd się On wziął? – nie z tego świata. Rzeczywiście tak jest. Logika Wcielonego Boga wywraca każdy system religijny. Nagle Bóg jest zainteresowany człowiekiem bardziej niż ten samym Bogiem. Nagle Bóg staje się bliski człowiekowi w sposób ciężki do zrozumienia. Nagle to, co było pochwalane, jest zganione, a błogosławione i święte jest to, co dotąd było nieważne. Pokorni, smutni, cierpiący, ubodzy,

miłosierni, czystego serca – to się nie powinno sprzedawać. Marketingowa kampania Jezusa jest trudna do zrozumienia, a ta miłość wrogów to już jakaś przesada. I przebaczać 77 razy? Zaraz, zaraz i być cichym? Jak mamy walczyć o zmianę nie krzycząc, nie protestując, nie oburzając się i denerwując? Jezusie, czemu nie protestujesz? Czemu nie walczysz o swoją rację? Przecież jeżeli ktoś, to właśnie Ty masz rację. I co z tego?

Bóg dalej wędruje po tym świecie i robi swoje, a ludzie dalej tego nie rozumieją. Uzdrawia chorych, chodzi i szuka grzeszników, złodziei, transwestytów, polityków, alkoholików, seksoholików, ludzi przykutych do komputerów i gier, gwiazd pornografii, szuka tych, którzy wyzyskują biednych, szuka włóczęgów, morderców, cudzołożników, apostatów, szuka ludzi słabych i wykluczonych z pobożnego kręgu świętych w kościelnych ławkach – szuka ich, spotyka się z nimi, je z nim kolację. My przyklejamy im łatki grzechów, nazywamy ich nimi, a Bóg zawsze mówi do nich po imieniu, widzi w nich swoje dzieci. Kocha każdego człowieka, którym my, ludzie pobożni i święci, pogardzamy. I pozwala dotykać się nieczystym, blisko i intymnie jak jawno grzesznicy u faryzeusza Szymona. On też był zgorszony tym spotkaniem i tym dotykiem dłoni, włosów i łez. Nasz sąd ich nie nawróci, tylko Miłość, która zakrywa grzech, może odmienić mojego brata i siostrę.

PRZEMIENIENIE

Inny Bóg

Co tak naprawdę przemieniło się na Taborze? Jezus, czy oczy uczniów? Tradycja chrześcijańskiego wschodu, mówi o tym drugim. Że to apostołowie otrzymali łaskę widzenia Jezusa takim, jakim jest naprawdę. Bóstwo odsłoniło rąbka tajemnicy. Ta koncepcja daje nowe spojrzenie na to wydarzenie. Łaska, która dokonuje przemiany mojego patrzenia na Boga. Gdzie Go widzę i jakim Go widzę? Wielokrotnie okazuje się, że Bóg jest całkiem inny, niż nam się wydaje. Uczniowie często otrzymują bolesną lekcję, że nie rozumieją Jezusa. Raz nawet z tego wszystkiego Piotr został nazwany Szatanem. Przeciwnikiem. Jak ciężko nam zdetronizować samych siebie, którzy mówimy Bogu, co ma robić. Kto tu tak naprawdę potrzebuje przemiany? Starcie się Jego logiki i mojej – która wygrywa? Bóg inny niż nam się wydaje. Hebrajskie słowo na święty – *cadosh* oznacza dokładnie „oddzielony”, w sensie inny od wszystkiego. Czy my w ogóle rozumiemy, co to jest świętość?

Kim jest święty? Jakie są tego standardy? Gdzie tych świętych szukać? Czy to są tylko ludzie pobożni? Dzielimy świat na świętych i grzeszników, sacrum i profanum, ale Kościół nigdy nie był i nie jest poza profanum, jest jego częścią. Z księży czynimy nadludzi, a zwyczajnych mężczyzn i kobiety, którzy upadli, osądzamy i wytykamy palcami. Ale jakie grzechy znajdziemy, zaglądając pod sutannę księdza, co znajdziemy spoglądając w serce grzesznika?

Czy współczesny człowiek znajdzie dziś Boga w Kościele? Czy my zobaczymy naszymi oczami Jezusa, czy jest tu teraz z nami, gdy czujemy się bezpiecznie, znieczuleni naszą różańcową pobożnością? A co, jeśli Jezus biega teraz na różnego rodzaju marsze – od czarnych, przez biało-

-czerwone po kolorowe i próbuje rozluźnić zaciśnięte pięści braci i siostr po obu stronach barykady? Co, jeśli umiera w klinikach aborcyjnych z nienarodzonymi i cierpi z matkami, które zagubiły się tak bardzo? Co, jeśli pociesza chorych w szpitalach i domach opieki – zapomnianych starszych i niedołączonych ludzi? Łatwo widzieć światło Taboru w Kościele i promieniach monstrancji, ale jak bardzo muszą jeszcze przemienić się nasze oczy, by zobaczyć chwałę cierpiącego Chrystusa w człowieku, którego ciało krwawi i którego serce krwawi – tak że zaciska pięści w nienawiści? Jak bardzo jeszcze potrzebujemy się przemienić, by zobaczyć Jezusa. Jak bardzo jeszcze nie rozumiemy Boga?

EUCHARYSTIA

Bóg pokarm

Tak bardzo oswoiliśmy się z Eucharystią, że już nas ona nie szokuje. Nie wstrząsa nami świadomość, że Bóg staje się dla nas jedzeniem, nawet wolimy mówić ładnie i wzniosłe o pokarmie. Jezus jednak daje nam swoje ciało, nie mówi o duchu i bóstwie, ale zwraca naszą uwagę na fizyczny wymiar swojej obecności. „Jedz mnie” – dwa szokujące słowa. Jedzenie jest przecież podstawową cielesną czynnością, bardziej podstawową i prymitywną od myślenia i mówienia. Ale Jezus tak właśnie chce się z nami zjednoczyć. Jezus oczywiście daje nam w Eucharystii pełnię swojej osoby – Bóstwo i Człowieczeństwo, jednak nośnikiem – medium i ostateczną formą – jest coś fizycznego, jadalnego, co można przeżuwać i trawić – bo takim jest przecież ciało człowieka. Wiele z dawnych religii przedstawiało Boga jedzącego ofiary ludzi lub zwierząt, składanych na ołtarzach, jednak Jezus postawił religijność na głowie, zapraszając nas, byśmy spróbowali skonfrontować się z tym, że to właśnie Bóg daje siebie jako jedzenie dla nas.

Wielu z nas wie, jak przyjąć człowieka, jak się na niego otworzyć. Ale na Boga, jak się otworzyć na Boga? Jak go przyjąć? Może to być dla nas takim wyzwaniem, że tworzymy sobie argumentację czy to moralną, czy teologiczną, wykluczającą nas lub określone grupy ludzi z Eucharystii. Ale wszyscy przed przyjęciem komunii mówimy, że nie jesteśmy godni. Potem niektórzy jednak godnymi się okazują i przystępują do komunii, ale ci, którzy takimi nie są, nie mogą tego uczynić, czy nie ma w tym jakiejś niespójności? Co nas czyni godnymi? To, co my zrobiliśmy, czy łaska? Albo wszyscy jesteśmy niegodni, albo wszyscy za Bożą łaską jesteśmy. Wszyscy jesteśmy grzesznikami, wszyscy jak tu siedzimy, i każdy z nas jest szalenie kochany przez Boga, który tak bardzo nas kocha, że dla nas stał się jedzeniem, nie nagrodą – podstawowym normalnym, nudnym jedzeniem. Kiedy wreszcie zrozumiemy przesłanie Eucharystii – kochać to karmić, nie dzielić na lepszych i gorszych – jedzenie należy się każdemu, który jest głodny. Bóg jest dla każdego, który jest Jego głodny, a nie godny.

O. ROMAN GROSZEWSKI SJ – duszpasterz akademicki, współzałożyciel Wspólnoty „Dom w Ramionach Ojca”. Jako swoją misję życiową traktuje objawianie ludziom Serca Boga Ojca.

POMAGAMY UCHODŹCOM NA MIEJSCU, TAM, GDZIE ŻYJĄ – W POLSCE

Lukasz Lewicki SJ

20 CZERWCA ZBIEGLY SIĘ ZE SOBĄ DWA WAŻNE WYDARZENIA: Wspomnienie Niepokalanego Serca Maryi oraz Światowy Dzień Uchodźcy. To nie przypadek...

W przedstawionej tu opowieści nie brakuje podobieństw do historii biblijnej, w której to Maryja z Józefem uciekali do Egiptu. Jednak tym razem jej bohaterowie, Mary i Emad, nie uciekają do Egiptu, lecz z Egiptu. Mary to Maria, a Emad – ma wiele wspólnego z postacią Józefa, ponieważ jego imię oznacza wsparcie, podporę, a więc te cechy, które chrześcijaństwo przypisuje opiekunowi Świętej Rodziny. Serce Emada podpowiadało mu, by zgodnie ze znaczeniem swojego imienia, stać się dla innych wsparciem – pragnął być pracownikiem społecznym.

Jak wiemy, w centrum historii biblijnej znajduje się wątek oczekiwanych narodzin potomka. Również i w tej naszej opowieści nie mogło go zabraknąć. Mary i Emad spodziewają się dziecka. Różnica polega na tym, że w tej chwili mają już dwóch chłopców w wieku szkolnym. Gdyby tego było mało, podobnie jak Józef i Maryja, nie mogą znaleźć dachu nad głową. Ostatnim razem, kiedy się z nimi widziałem, poszukiwali mieszkania. Ponadto ze względu na pandemię rodzina straciła środki utrzymania. W tej chwili Emad rozpaczliwie poszukuje pracy, muszą bowiem spłacić zaległy dług za wynajem dotychczasowego małego mieszkanka.

Na razie – jeśli doszukiwać się analogii biblijnych w tej historii – brakuje jeszcze mędrców, którzy przynieśliby różnorakie dary. Owszem, wątek złota pojawia się w tle, bowiem Emad zajmował się niegdyś w Kairze również złotnictwem. Dzisiaj jednak znalazł się w położeniu, w którym jego przedsiębiorczość i dobre chęci nie wystarczają. Okazuje się, że bariera językowa mocno ogranicza możliwości znalezienia pracy. Podobnie rzecz się ma z jego żoną, która w swojej ojczyźnie była nauczycielką. Mimo iż z językiem polskim radzi sobie całkiem nieźle, to jednak nie na tyle, aby nauczać w polskiej szkole. Emad poszukuje jakiegokolwiek oferty pracy, która pomoże mu utrzymać powiększającą się rodzinę. Docelowo zarobione pieniądze planuje odłożyć na kurs prawa jazdy. Marzy bowiem, że w przyszłości będzie pracował jako zawodowy kierowca.

Państwo Karimowie to ludzie głęboko pobożni. Zawieźli swoje życie Chrystusowi. Należą do Koptyjskiego Kościoła Ortodoksyjnego, którego założycielem, według odwiecznej tradycji, miał być św. Marek Ewangelista. Wystarczy chwila rozmowy z nimi, aby dostrzec, że Jezus jest dla nich życiową motywacją i celem nadrzędnym ich życia. Widać, że inspiracje ewangeliczne, o których mówią, wypełniają ich życie, żyją Ewangelią. Mary jest bardzo otwartą, radosną i opiekuńczą osobą. Oboje z Emadem są bardzo skromni i pokorni. Z drugiej strony, mają w sobie dużo życia i pozytywnej energii.

W dzisiejszych czasach, które są niejako „genetycznie stresogenne” ciąży stają się dla kobiety jeszcze większym

wyzwaniem, szczególnie gdy można stracić dach nad głową, a wokół panuje pandemia jakiegoś dziwnego wirusa, głowa rodziny nie ma pracy, a troszczyć się trzeba także o dwójkę dzieci, które przyszły już na świat. „Medialny szal pomagania” związany z pandemią wydaje się również przemijać, podobnie jak lęk z nią związany. Tymczasem konsekwencje epidemii docierają do nas z opóźnionym zapłonem.

Opisana historia to mały wycinek szerszej panoramy problemów uchodźców, którzy niemal masowo tracą teraz dach nad głową i pracę. Takich młodych małżeństw, które walczą o utrzymanie rodziny, jest jeszcze kilka i wspominam tylko o tych, które są w kontakcie z naszym Jezuickim Centrum Społecznym „W Akcji”. Do tej pory staraliśmy się wspierać ich doraźnie i bardziej symbolicznie poprzez paczki żywnościowe. Nasze możliwości są jednak w tym względzie bardzo ograniczone. Czasem można odnieść wrażenie, że uchodźcy, bezdomni i inne osoby znajdujące się na marginesie polskiego społeczeństwa zostały pozostawione same sobie niemal z dnia na dzień. Zrozumiałe jest to, że wszyscy borykamy się z konsekwencjami pandemii i w pierwszej kolejności mamy się troszczyć o naszych najbliższych. Myślę jednak, że to nie wyklucza ewangelicznego zaproszenia do troski o tych najmniejszych, najsłabszych. Nie chodzi tu bowiem o ideologię czy politykę – bo w tym względzie nasze zdania mogą się różnić. Pozostańmy jednak przy tym, co nas łączy. Dla wielu z nas będą to rady ewangeliczne – dla innych humanizm, empatia czy spontaniczny odruch serca.

Obecność uchodźców w naszym kraju jest egzaminem „polskiej gościnności” i „chrześcijańskiego braterstwa”. Ludzie potrzebujący, obcy, nieznani pokazują nam samym na ile, mimo czasem bardziej lub mniej uzasadnionych obaw, potrafimy się wznieść ponad nasze lęki i być dla siebie ludźmi.

Światowy Dzień Uchodźcy to kolejna okazja, aby ogarnąć pamięcią i modlitwą wszystkich uchodźców, a przede wszystkim włączyć się w realną pomoc tym, którzy poszukują schronienia. Najprostszą rzeczą, którą może zrobić każdy z nas wobec uchodźców, to nie przechodzić wobec nich obojętnie.

JAK WESPRZEĆ RODZINĘ MARY I EMADA?

Chcemy pomóc rodzinie w zaległej spłacie czynszu i być może w opłaceniu kursu prawa jazdy. Prowadzimy również zbiórkę ciuszków i innych rzeczy potrzebnych dla małego dziecka. Poszukujemy również ofert pracy, mieszkań i pokojów dla pozostałych uchodźców, którzy ucierpieli wskutek pandemii. Można się z nami kontaktować pod adresem mailowym: kontakt@wakcji.org lub przez Messengera: <https://www.facebook.com/wakcji>

Ze względu na bezpieczeństwo rodziny Emada, niektóre dane osobowe (z wyjątkiem imion) zostały zmienione.

O. ŁUKASZ LEWICKI SJ – dyrektor Jezuickiego Centrum Społecznego „W Akcji”. Interesuje się geopolityką, wybranymi zagadnieniami z pogranicza antropologii kultury, filozofii i religii.

LOKALNY WOLONTARIAT I INNE WIEŚCI Z JCS-U

JEZUICKIE CENTRUM SPOŁECZNE „W AKCJI” NIEPRZERWANIE realizuje swoje cele. Dzięki zmniejszeniu rządowych obostrzeń poszukujemy kompromisowych form, które pozwalałyby nam na kontakt z uchodźcami bez pośrednictwa Internetu czy telefonu. Przez cały czas pandemii br. Andrzej Malenda SJ udziela, w wolnym od stałych obowiązków czasie, pomocy prawnej uchodźcom, podobnie zresztą jak to miało miejsce jeszcze przed jej wybuchem. Tymczasem s. Ania Żamojda RSCJ niezmiennie pomaga uchodźcom pojawiającym się w naszym biurze, starając się zaradzać ich bieżącym potrzebom. Ponadto, w ramach działalności naszego Biura Misyjnego prowadzi ona „Adopcję Serca”, polegającą na współfinansowaniu edukacji kirgiskich dzieci i młodzieży. Dobia również końca rozbudowa infrastruktury elektronicznej, m.in. komputerów i ich peryferii oraz centrali telefonicznej w naszym Centrum. Było to możliwe dzięki niedużemu dofinansowaniu, jakie otrzymaliśmy za pośrednictwem JRS Europe. Urządzenia posłużą do nauczania zdalnego. Już teraz zostały włączone w organizację kursu programowania dla młodzieży i posłużą do kolejnych tego typu inicjatyw edukacyjnych.

Pandemia nie ograniczyła naszych działań. Wręcz przeciwnie, była impulsem dla powstania nowych. Ostatnie miesiące pokazały nam, że istnieje potrzeba zbudowania zaplecza, które w sytuacjach kryzysowych, jak i bardziej codziennych, będzie w stanie wspomagać szczególnie osoby starsze (i nie tylko) z naszego najbliższego otoczenia. Dlatego nasze Centrum poszerzyło zakres swojej działalności. W niedzielę (28 czerwca) w Sanktuarium Św. Andrzeja Boboli trwały zapisy dla osób potrzebujących wsparcia lub

ADOPCJA SERCA

ADOPCJA SERCA TO INICJATYWA BIURA MISYJNEGO, działającego przy Jezuickim Centrum Społecznym „W Akcji”. Głównym celem projektu jest wsparcie edukacyjne dzieci i młodzieży podejmujących naukę. Pochodzą one z Kirgistanu – głównie z Biszkeku, Tałasu oraz okolicznych wiosek. Obecnie w Adopcji Serca mamy pięćdziesięcioro dzieci, które są objęte programem do momentu zakończenia edukacji. Stypendium, o którym mowa, dotyczy wielu obywateli. To nie tylko opłata zajęć dodatkowych dla dzieci, ale również zakup przyborów szkolnych, podręczników, ubrań (by dzieci miały w czym chodzić do szkoły), posiłków w stołówce szkolnej, dojazdów do szkoły itp. Z poważnymi wydatkami wiąże się również zapewnienie opieki medycznej i lekarstw, ponieważ służba zdrowia w Kirgistanie jest płatna.

Dzieci, które znalazły się w naszym projekcie, pochodzą z ubogich, czasem niepełnych rodzin. Ich rodzice, pracują najczęściej dorywczo, sezonowo i za niewielkie pieniądze. Bywa, że matka opiekuje się najmłodszym potomstwem i nie może podjąć stałej pracy zarobkowej. Rodziny te żyją zatem bardzo skromnie. Choć ich ubóstwo dotyka przede wszystkim sfery materialnej, to jego skutki sięgają

chcących udzielić go innym. We współpracy z parafią skierowaliśmy naszą akcję do trzech kategorii osób: 1) seniorów, którzy potrzebują opieki lub pomocy w codziennych zajęciach; 2) dzieci i młodzieży chcących skorzystać z korepetycji w zakresie przedmiotów szkolnych; 3) osób chcących się włączyć w nasz wolontariat. Skontaktowało się z nami tego dnia ponad sto osób. Ogromnym zaskoczeniem i czymś niesamowicie budującym był fakt, że aż 90 spośród nich zapragnęło zostać wolontariuszami Jezuickiego Centrum Społecznego „W Akcji”. Kolejne, podobne przedsięwzięcie będziemy podejmować w październiku, kiedy potrzeba m.in. korepetycji może się wydać bardziej odczuwalna. Poszukujemy nadal wolontariuszy posiadających predyspozycje/kwalifikacje dziennikarskie, multimedialne (dźwięk, obraz, media społecznościowe) i medyczne. Mile widziane są również osoby, których wiedza i doświadczenie mogą się przydać w organizowaniu szkoleń dla wolontariuszy.

Na początku czerwca, po trzymiesięcznej przerwie odbyła się Msza św. w języku arabskim. Odbyła się ona jak zawsze w dolnym kościele Sanktuarium św. Andrzeja Boboli, a jej celebrazem był o. Zygmunt Kwiatkowski SJ. Ze względów bezpieczeństwa zmieniliśmy nieco jej dotychczasową formułę. Jak zawsze ciekawą częścią liturgii była dialogowana homilia. Wspólnie zastanawialiśmy się nad tym, co to znaczy „być światłem świata”.

Nawiązując do opisanej obok sytuacji rodziny Mary i Emada spieszymy poinformować, że ich historia ma swój ciąg dalszy. Dzięki zaangażowaniu br. A. Malendy SJ udało nam się zdobyć dla nich mieszkanie socjalne. Naszym głównym zaangażowaniem wakacyjnym jest aktualnie zbiórka mebli i innych przedmiotów niezbędnych do wyposażenia nowego lokum. O szczegółach akcji informujemy w kolejnej relacji.

o. Lukasz Lewicki SJ

znacznie głębiej, niż tylko pogorszenia komfortu życia. Mowa tu o wykluczeniu lub marginalizacji w przestrzeni publicznej oraz o nierównym dostępie do wiedzy, szansy rozwoju osobistego.

Odpowiedni poziom wykształcenia prowadzi do specyficznie ukształtowanej świadomości, z której rodzi się przedsiębiorczość i tzw. zaradność życiowa. Brak tych narzędzi skutkuje trudnością lub nieumiejętnością pozyskiwania wystarczającej ilości środków na swoje utrzymanie. Naszym zadaniem jest zatem nie tyle podarowanie komuś pieniędzy, co poprzez edukację podanie przysłowiowej „wędkę” i szansy na samodzielne zdobycie środków utrzymania w przyszłości.

W ostatnich miesiącach w związku z pandemią większość przekazanych środków została wykorzystana na zakup żywności. Było to spowodowane izolacją i utratą miejsc pracy, a co za tym idzie – źródeł dochodów. Siostry, które mają bezpośredni kontakt ze swoimi młodymi podopiecznymi i ich rodzinami, wpadły na nietuzinkowy pomysł. Zaproponowały, by w ramach projektu dzieci, które pozostały w domu i nie chodziły w tym czasie do szkoły, uczyły się gotować. I tak udało się połączyć wymiar edukacyjny projektu i zaspokojenie najpilniejszych potrzeb rodziny.

s. Anna Żamojda RSCJ, o. Lukasz Lewicki SJ

Z ŻYCIA PARAFII

Opracowała Aleksandra Werochowska

POŻEGNANIA

17 czerwca zmarł nagle w 52 roku życia, 32 roku powołania zakonnego i 17 roku kapłaństwa nasz Współbrat, ojciec PIOTR DECZEWSKI SJ, który przez ostatnie lata pracował w parafii Św. Krzyża w Gdańsku Wrzeszczu. Był kapłanem w Hospicjum Pomorze Dzieciom i hospicjum perinatalnym „Tulipani”, a w latach 2003–2012 był kapłanem Centralnego Szpitala Klinicznego MSWiA przy ul. Wołoskiej w Warszawie. Msza św. pogrzebowa w intencji śp. o. Piotra została odprawiona w Sanktuarium 22 czerwca o godz. 11.00 pod przewodnictwem ks. bp. Tadeusza Piusa. Ojciec Piotr został pochowany w grobowcu jezuitów na Powązkach.



24 czerwca 2020 roku w 81 roku życia, w 63. roku zakonnego powołania i 53 roku kapłaństwa zmarł w Rzymie o. RYSZARD PLEZIA SJ. „Studia specjalistyczne z teologii fundamentalnej odbył na Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie. W 1974 roku został skierowany do pracy w Papieskim Instytucie Studiów Kościelnych (PISK), w którym pracował nieprzerwanie do roku 2020. Głównym obszarem działalności o. Ryszarda Plezia była «logistyka», czyli troska o materialne i administracyjne potrzeby wynikające z istnienia i działania Instytutu, a także troska o ekipę naukową PISK. Ojciec Ryszard Plezia był jednym z pierwszych jezuitów tworzących Papieski Instytut Studiów Kościelnych w Rzymie i ściśle współpracował zarówno z ks. kard. Stefanem Wyszyńskim, jak również z o. Eugeniuszem Reczkiem SJ (współzałożycielem PISK) i o. Hieronimem Fokcińskim SJ – pierwszym rektorem Instytutu”. Trumna z ciałem o. Ryszarda została przetransportowana



do Warszawy, by spocząć w grobowcu jezuitów na warszawskich Powązkach.

(Za: <https://jezuici.pl/2020/06/zmarl-o-ryszard-plezia-sj/>)

29 czerwca 2020 r., w 83 roku życia, 66 powołania zakonnego i 51 kapłaństwa zmarł o. STANISŁAW OPIELA SJ. W 1964 roku ukończył polonistykę na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. „Następnie wyjechał do Francji i odbył studia filozoficzne w Chantilly i teologiczne w Lyonie. (...) Od roku 1971 pracował w Warszawie w parafii św. Szczepana jako duszpasterz akademicki. Po dwóch latach wyjechał do Rzymu do pracy w polskiej sekcji Radia Watykańskiego. W tym też czasie rozpoczął studia doktoranckie na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie. Tam też obronił doktorat z filozofii. (...) W roku 1979 wrócił do kraju i został ojcem duchownym kleryków na Wydziale Teologicznym Bobolanum w Warszawie. W 1981 doprowadził do wznowienia «Przeglądu Powszechnego» i przez wiele lat był jego redaktorem naczelnym. W stanie wojennym kapłanował internowanym osadzonym w więzieniu w Białoleścu. Był zaangażowany w demokratyczne przemiany w naszym kraju, tworząc przy «Przeglądzie Powszechnym» środowisko opozycyjne składające się z wybitnych twórców nauki i sztuki. Po roku 1989 wielu z nich pełniło znaczące urzędy w kraju. W latach 1985–1991 o. Stanisław Opiela był Przełożonym Prowincji Wielkopolsko-Mazowieckiej Towarzystwa Jezusowego, a w 1992 r. został mianowany pierwszym przełożonym Niezależnego Regionu Rosyjskiego i doprowadził do zarejestrowania w Rosji zakonu jezuitów. W latach 1998–2000 był sekretarzem Konferencji Biskupów Federacji Rosyjskiej. Redagował w Moskwie kwartalnik «Toczki – Puncta», wykładał w Kolegium św. Tomasza z Akwinu i w seminarium duchownym. W 2001 r., po pobycie w kraju, nie mogąc powrócić do Moskwy z przyczyn politycznych, pracował w Europejskim Centrum Komunikacji i Kultury w Warszawie Falenicy i w «Przeglądzie Powszechnym». Następnie wyjechał do Strasburga, gdzie pracował w Katolickim Biurze Informacji i Inicjatyw Europejskich – OCIPE. O. Stanisław był członkiem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich oraz członkiem UCIP (Union Catholique Internationale de Presse). W roku 1980 otrzymał Nagrodę Polskiej Fundacji POLCUL z Australii. (...) Dwa lata temu Prezydent Francji odznaczył o. Stanisława Opielę Orderem Legii Honorowej. W uzasadnieniu ambasador Pierre Levy napisał: «odznaczenie to wynagradza ojca znakomite zaangażowanie w służbie naszym wartościom europejskim, a szczególnie w pojawieniu się demokracji w Polsce». Przez szereg lat był kapłanem Domu Lekarza Seniora im. Dr. Kazimierza Fritza w Warszawie, a ostatnie lata życia spędził w warszawskim Kolegium Księża Jezuitów». Uroczystości pogrzebowe śp. o. Stanisława Opiela SJ odbyły się 3 lipca w Sanktuarium.

(Za: <https://jezuici.pl/2020/06/zmarl-o-stanislaw-opiela-sj/>)



KOŚCIÓŁ POWSZECHNY

W maju tradycyjnie odprawiane były nabożeństwa ku czci Najświętszej Maryi Panny – w niedzielę i uroczystości o godz. 18.00, zaś w dni powszednie o godz. 18.30.

Adoracja Najświętszego Sakramentu w Sanktuarium w czwartki po Mszy św. o godz. 19.00 do godz. 21.00, a w piątki po Mszy św. o godz. 9.00 do godz. 17.00 z przerwą na Mszę św. o godz. 12.00.

16 maja w obchodziliśmy Uroczystość i Odpust Św. Andrzeja Boboli, Patrona Polski, Metropolii Warszawskiej i naszej parafii. O godz. 18.00 odbyła się uroczysta Msza św. odpustowa pod przewodnictwem ks. kard. Kazimierza Nycza. Ze względu na epidemię we Mszy św. mogły uczestniczyć tylko osoby posiadające zaproszenia, a wszystkich pozostałych parafian i sympatyków Sanktuarium ojcowie jezuici zaprosili do skorzystania z transmisji w internecie na kanale YouTube i na stronie Archidiecezji Warszawskiej. Sygnał udostępniło Biuro Prasowe Archidiecezji Warszawskiej i Stacja7.pl.



Fot.: Agencja fotograficzna BERTRONI

Od 17 maja w Sanktuarium w czasie sprawowania nabożeństw wzrosła dopuszczalna liczba wiernych, 1 osoba przypadająca na 10 m², a więc w Sanktuarium maksymalnie 110 osób plus księża i służba liturgiczna. Nadal obowiązywało wiernych uczestniczenie w maseczkach i dezynfekcja rąk. W tym celu można skorzystać z dozownika znajdującego się w kruchcie Sanktuarium.

Od tego czasu nastąpił powrót do uroczystości udzielania Sakramentu Chrztu Świętego dzieciom, w niedzielę po Mszy św. o godz. 13.00.

19 maja o godz. 18.00 w Dolnym Kościele odbyła się pierwsza po przerwie spowodowanej pandemią Msza św. dla kobiet – uczestniczyć w niej mogło max. 20 osób.

W sobotę 30 maja odbyła się transmisja czuwania przed Uroczystością Zesłania Ducha Świętego. Rozpoczęło się

ono adoracją w Kaplicy Akademickiej o godz. 19.00, a o godz. 20.00 odbyła się Msza św. wigilii Pięćdziesiątnicy. Ze względów technicznych modlitwa mogła być transmitowana jedynie przez Internet.

Od 31 maja nie obowiązują już limity liczby wiernych w kościołach na nabożeństwach. Natomiast dalej należy nosić maseczki i zachować odpowiedni odstęp od siebie. Duszpasterze zalecają też dezynfekcję rąk.

W niedzielę Msze św. w Sanktuarium są odprawiane jak zwykle, o godz. 7.00, 8.30, 10.00, 11.30, 13.00, 17.00, 19.30 i 21.00 oraz dodatkowa Msza św. o godz. 15.30. Mszy św. w Kaplicy Akademickiej nadal nie będzie.

3 czerwca, w pierwszą środę miesiąca, odbyła się w Sanktuarium kolejna Msza św. połączona z modlitwą o uzdrowienie.

W pierwszą sobotę czerwca, po Mszy św. o godz. 9.00, odbyło się nabożeństwo do Niepokalanego Serca Maryi, zaś o godz. 14.00 w Dolnym Kościele Czuwanie Maryjne i konferencja, a po Mszy św. o godz. 17.00 – akt zawierzenia Jej Niepokalanemu Sercu.

W czwartek 11 czerwca obchodziliśmy Uroczystość Najświętszego Ciała i Krwi Pańskiej, zwaną tradycyjnie Bożym Ciałem. W naszej parafii obowiązywał niedzielny porządek Mszy św. W związku z aktualną sytuacją epidemiologiczną nie było w tym roku centralnej procesji na Starym Mieście ani ulicami naszej parafii. Po Mszy św. o godz. 13.00 była tylko symboliczna procesja do czterech ołtarzy wewnątrz Sanktuarium i trasami na zewnątrz od bocznego wejścia od ulicy Akacyjowej do wejścia od ulicy św. Andrzeja Boboli.



Fot.: Agencja fotograficzna BERTRONI

W Boże Ciało, podczas Mszy św. o godz. 15.30, szóstka dzieci z naszej parafii przystąpiła do Pierwszej Komunii Świętej.

Przez całą oktawę Bożego Ciała w ramach nabożeństwa czerwcowego była procesja eucharystyczna, trasą podobną jak w czwartek.

W sobotę 13 czerwca z rąk ks. bpa Piotra Jareckiego podczas Mszy św. o godz. 11.00 w Sanktuarium siedmiu jezuitów przyjęło święcenia diakonatu:

PRZEMYSŁAW GWADERA, ur. 1986 w Gdańsku. Po maturze – przez 2 lata – studiował w Szkole Głównej Handlowej międzynarodowe stosunki gospodarcze. O jezuitach dowiedział się z Internetu. Po nowicjacie w Gdyni i filozofii w Krakowie, przez 4 lata pracował w jezuickiej nowej misji w Danii, gdzie jednocześnie studiował. Po powrocie podjął studia teologii na PWTW Bobolanum. Po święceniach diakonatu rozpocznie pracę w domu rekolekcyjnym w Gdyni.



MATEUSZ KOWALCZE, ur. 1988 w Zakopanem. Po ukończeniu szkoły średniej, przeniósł się na Dolny Śląsk, by studiować chemię na Uniwersytecie Opolskim. Tam też poznał jezuitów (w DA Xaverianum). Po nowicjacie w Starej Wsi i filozofii w Krakowie, pracował w gimnazjum jezuitów w Krakowie. Przez ostatnie 3 lata studiował teologię na PWTW Bobolanum oraz ukończył i obronił doktorat z chemii na Akademii Górniczo-Hutniej w Krakowie. Za kilka dni rozpocznie pracę w Laboratorium Kryminalistycznym Komendy Wojewódzkiej Policji w Krakowie.



DAMIAN KRAWCZYK, ur. 1988 w Otwocku. Po ukończeniu liceum w Otwocku, przez 3 lata studiował historię na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, gdzie też poznał jezuitów w Duszpasterstwie Akademickim Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Po nowicjacie w Gdyni i filozofii w Krakowie pracował w Warszawie w Jezuickim Centrum Społecznym „W Akcji”, które niesie wszechstronną pomoc uchodźcom. Przez ostatnie 3 lata studiował teologię na PWTW Bobolanum, a od przyszłego roku akademickiego rozpocznie studia historyczne na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie.



TOMASZ MATYKA, ur. 1990 w Katowicach. Wstąpił do zakonu zaraz po maturze. Po nowicjacie w Starej Wsi i filozofii w Krakowie spędził 3 lata we Włoszech, pracując kolejno w Palermo na Sycylii i w Rzymie, w Radiu Watykańskim. Teologię studiował na PWTW Bobolanum. Od dawna interesuje się Bliskim Wschodem, dlatego też następny etap formacji będzie kontynuował na Bliskim Wschodzie – w Bejrucie. Podczas studiów teologicznych posługiwał w duszpasterstwie greckokatolickim w Warszawie. Zna wiele języków.



PIOTR STANOWSKI, ur. 1985 w Sosnowcu. Po maturze studiował ekonomię w Katowicach. Do zakonu wstąpił w roku 2010. Po nowicjacie w Starej Wsi i filozofii w Krakowie pracował przez 2 lata w Preston w Wielkiej Brytanii, pomagając w parafii, w duszpasterstwie akademickim i towarzysząc odprawiającym rekolekcje ignacjańskie. Po powrocie do kraju studiował teologię na PWTW Bobolanum. Po wakacjach rozpocznie studia z teologii biblijnej w Boston College w USA.



ADAM SZYMAŃSKI, ur. 1991 w Kaliszu, gdzie ukończył liceum oraz 6 lat szkoły muzycznej w klasie klarnetu i gitary klasycznej. Po ukończeniu nowicjatu w Gdyni i filozofii w Krakowie, przez 2 lata pracował w Szkole Kontakt z Bogiem. Pierwszy cykl studiów teologicznych ukończył na PWTW Bobolanum w Warszawie. Po święceniach diakonatu ma rozpocząć studia z teologii duchowości na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie.



ŁUKASZ WYSOCKI, ur. 1981 w Lublinie. Po maturze ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim i przez 6 lat pracował w zawodzie. Wstąpił do Towarzystwa Jezusowego w roku 2012. Przed wstąpieniem do zakonu był zaangażowany w ruch Odnowy w Duchu Świętym oraz w ewangelizację. Po nowicjacie w Gdyni i filozofii w Krakowie, studiował teologię na PWTW Bobolanum. Od ubiegłego roku pracuje w nowo powstałej, jezuickiej parafii w Wasilkowie koło Białegostoku.



(Noty biograficzne za: <https://jezuici.pl/2020/06/siedmiu-jezuitow-przyjelo-swiecenia-diakonatu/>)

Kolejna Msza św. dla „Kobiet Urzekających” odbyła się we wtorek 16 czerwca o godz. 18.00 w Dolnym Kościele.

W piątek 19 czerwca obchodziliśmy Uroczystość Najświętszego Serca Jezusowego. Uroczysta Msza św. połączona z nabożeństwem czerwcowym i procesją eucharystyczną odbyła się o godz. 19.00.

20 czerwca w Sanktuarium podczas Mszy św. o godz. 12.00, z rąk ks. bpa Rafała Markowskiego święcenia prezbiteratu przyjął dk. Paweł Gołaszewski SJ. „Paweł Gołaszewski wstąpił do zakonu jezuitów w 2012 roku w wieku 34 lat jako lekarz specjalizujący się w chirurgii. Po dwuletnim nowicjacie odbył studia filozoficzne i teologiczne a obecnie specjalizuje się w teologii patrystycznej na jezuickiej uczelni we Paryżu”.
(Za: <https://jezuici.pl/2020/06/swiecenia-kaplanskie-pawla-golaszewskiego-sj/>)



W środę 24 czerwca w Uroczystość Narodzenia św. Jana Chrzciciela ks. bp Piotr Jarecki podczas Mszy św. o godz. 18.00 udzielił Sakramentu Bierzmowania grupie młodzieży z naszej parafii liczącej 73 osoby.

27 czerwca, w sobotę podczas Mszy św. o godz. 10.00 w Sanktuarium, kolejna grupa dzieci (dziewięcioro) przystąpiła do Pierwszej Komunii Świętej.

Nabożeństwo do Najświętszego Serca Pana Jezusa było odprawiane w Sanktuarium codziennie przez cały czerwiec w niedziele i uroczystości o godz. 18.00, zaś w dni powszednie o godz. 18.30.

WSPÓLNOTY I GRUPY W PARAFII

W parafii działa 40 grup i wspólnot. W okresie pandemii ich działalność została zawieszona, ograniczona lub też spotkania odbywają się w przestrzeni wirtualnej.

Po przerwie związanej z obostrzeniami od 10 maja swoją działalność wznowiły Księgarnia i Kawiarenka „OTWAR-TA” działające przy Sanktuarium.

PODCZAS EPIDEMII:

Osoby starsze i samotne, chore bądź odbywające kwarantannę i potrzebujące pomocy w zakupach, wykupieniu leków etc. mogą się zgłaszać do kancelarii parafialnej telefonicznie 22 54 28 707 lub mailowo parakow@jezuici.pl. Kancelaria pracuje w zwykłych godzinach. Jeśli ktoś z kolei jest w pełni sił i może pomóc, też jest proszony o zgłoszenie się!

W naszej parafii o. prowincjał Tomasz Ortmann SJ dokonał zmian personalnych. Do innych zajęć i placówek odchodzą: o. Waldemar Aramowicz SJ, o. Romuald Domagała SJ, o. Roman Groszewski SJ, o. Ryszard Matejuk SJ, o. Waław Oszejca SJ, dk Kamil Boberek SJ i ks. Daniel Wojda SJ. Przychodzą natomiast: o. Roman Swoboda SJ na wikariusza w parafii, o. Grzegorz Lojtek SJ na duszpa-

sterza akademickiego oraz o. Marek Stelmaszczuk SJ i o. Czesław Wasilewski SJ.

Nastąpią również zmiany personalne wśród siostr – decyzją matki prowincjalnej odchodzi s. Miriam Kondraciuk CSFF, katecheta w SP nr 70, a na jej miejsce przychodzi s. Maksymiliana Gappa CSFF.



O. Roman Swoboda SJ – nowy wikariusz

DZIEŁA POMOCOWE I MISYJNE

W czasie pandemii panie z punktu charytatywnego „Wzajemna Pomoc” przygotowywały paczki żywnościowe, a klerycy je wydawali, żeby ustrzec starsze osoby przed kontaktem z ewentualnymi chorymi. Do pomocy osobom starszym w robieniu zakupów poszczególne osoby zgłaszały się do kancelarii parafialnej. Nie było jednak zbyt wielu chętnych, którzy skorzystali z tej formy pomocy. Natomiast lawinowo wzrosła liczba osób z całej Warszawy, zgłaszających się do kancelarii po pomoc finansową.

SZTUKA W SANKTUARIUM

Koncerty w Sanktuarium na czas pandemii zostały zawieszane.

JUBILEUSZE

15 czerwca trzech jezuitów obchodzili Jubileusz 50-lecia kapłaństwa: o. Witold Koper SJ, o. Józef Kulisz SJ, o. Stanisław Opiela SJ.



ALEKSANDRA WEROCHOWSKA – ukończyła studia chemiczne na Uniwersytecie Gdańskim, od 12 lat mieszka w Warszawie, obecnie pracuje w kancelarii parafialnej, prywatnie żona i mama dwójki dzieci, zaangażowana we Wspólnotę Małżeństw.

„Sanktuarium św. Andrzeja Boboli” pismo poświęcone życiu chrześcijańskiemu

www.rakowiecka.jezuici.pl/dokumenty/biuletyn
REDAKCJA: Małgorzata Mularczyk – redaktor naczelna, Waldemar Borzyszkowski SJ – asystent kościelny, Andrzej Koprowski SJ – konsultant merytoryczny, Dobrosława Gawor, Maciej Gliński, Joanna Domurat, Karol Jaworski, Maria Kastyak, Iwona Konarzewska, Marcelina Koprowska, Aleksandra Werochowska, Barbara Zdanowska
PROJEKT GRAFICZNY I REALIZACJA: saintsco.pl
REDAKCJA TEKSTÓW: Karol Jaworski
SKŁAD: Karol Jaworski
WSPÓŁPRACUJĄ: Piotr Abramczyk, Marek Błaza SJ, Bernard Gonska SJ, Piotr Idziak SJ, Agnieszka Kamińska, Patryk Lempke, Sylwia Melon, Krzysztof Oldakowski SJ, Waław Oszejca SJ, Iwona Rubacha, Piotr Wróbel SJ, Wojciech Żmudziński SJ, Weronika Żurowska.
ISSN: 1505-2701 **NAKLAD:** 1000 egz. **DRUK:** BEL Studio Sp. z o.o.
WYDAWCA: Rzymskokatolicka Parafia św. Andrzeja Boboli, 02-532 Warszawa, ul. Rakowiecka 61, tel. 22 54 28 707; e-mail: biuletyn@parakow.pl
KONTO: PBH S.A. O/Warszawa 02 1060 0076 0000 4041 8008 6461.
Pismo jest przygotowywane na zasadach wolontariatu.
Dziękujemy za ofiary składane na pokrycie kosztów druku pisma.

TABLICA

OJCA MIROŚŁAWA PACIUSZKIEWICZA SJ



D.O.M.

OJCIEC

MIROŚŁAW PACIUSZKIEWICZ SJ

1931 – 2010

**PIERWSZY KUSTOSZ NARODOWEGO SANKTUARIUM
ŚWIĘTEGO ANDRZEJA BOBOLI**

KAZNODZIEJA, PUBLICYSTA, WYKŁADOWCA, POETA

WYBITNY KAPŁAN DIECEZJALNY I ZAKONNY

PROBOSZCZ TUTEJSZEJ PARAFII W LATACH 1986-1995

**TWÓRCA DUSZPASTERSTWA OSÓB ŻYJĄCYCH
W ZWIĄZKACH NIESAKRAMENTALNYCH**

ORĘDOWNIK KATECHUMENATU OSÓB DOROSŁYCH

Z MIŁOŚCIĄ PROWADZIŁ BLIŹNICH DO BOGA

WSPÓŁBRACIA, PRZYJACIELE, PARAFIANIE

A.D. 2020